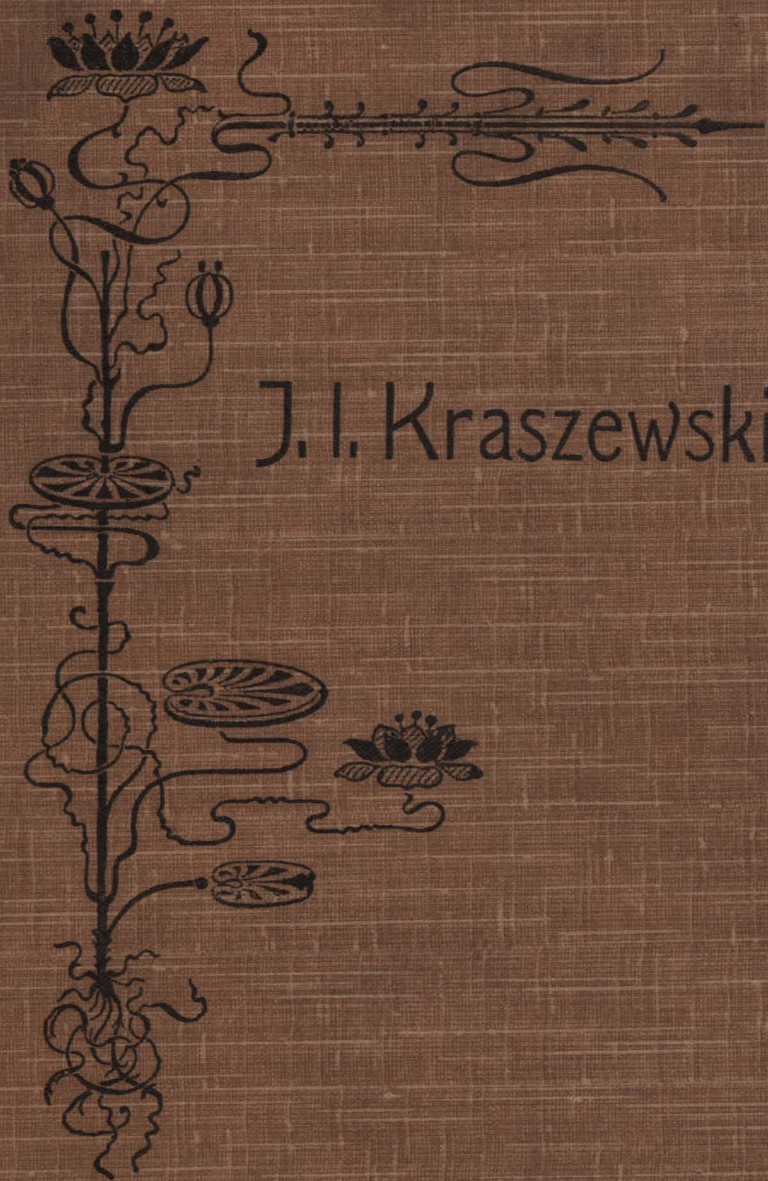




J. I. Kraszewski

Ołtarz już, jakby do niespornego przygotowany na bożeństwa, płonął światłami, dzwon jakby na modlitwę zwołując lud, odzywał się powoli. W kościele mroczno było i smutno, jakby się w niem pogrzeb miał odbywać. Za biskupem weszło do zakrystyi posłuszne duchowieństwo i w milczeniu przyodziewać zaczęło uroczyste szaty i kapy. Biskup wziął mitrę na głowę i pasterską swą laskę w rękę...

Dzwon ciągle odzywał się żałośnie, a ludzie, o niezwykle poprzedniego dnia godzinie zwabieni nim, ciekawie, niespokojnie cisnęli się do kruchty i kościoła.

Tu cisza panowała; świergot wróbli i jaskółek słyhać tylko było u okien, a zbłąkany, ostatni promień słoneczny, otworem jakimś u góry dostawszy się do wnętrza, złotym pasem jakby na pół świątynię przecinał.

Przy drzwiach gromadziła się coraz większa cizba ludu, cicho sobie rozmaite domysły podając do uszu,—gdy szelest się dał słyszeć od zakrystyi, dwoje pacholat weszło, poprzedzając biskupa, przed którym krzyż i księgę niesiono.

Stanisław ze Szczepanowa szedł błądy, uroczystą obleczony powagą, modląc się po cichu. Za nim długim szeregiem postępowali kapłani, idąc po dwu, w kapach, ze świecami w rękę, z głowy pospuszczanemi ku ziemi; szli nie patrząc na lud, jakby zagrożeni w smutku czy w modlitwie, szli aż przed ołtarz, ustawili się zwolna po sześciu z każdej strony przy pasterzu swym, który zajął miejsce na stopniach wielkiego ołtarza.

W tej chwili wcisnął się niewidzialny, samotór do zamku powracający, jakimś przecuciem wiedziony na głos dzwonu żałobny — mężczyzna obwinieity opończą ciemną; kilku ludzi, co go na zamku widzieli, poznawali w nim brata królewskiego Władysława, i rękami go sobie ukazywać zaczęli.

Ustępowano mu z drogi, lecz księżę cofnął się

i szukał sobie niespokojnie miejsca w kruchcie, gdzieby mógł pozostać niepostrzeżony. Trwożyło go widocznie, iż był poznanym, osłaniał twarz, szukał ciemnego kąta, i towarzyszącemu kazał się zakrywać od napaści ciekawych oczu.—Dzwon bił ciągle zwolna w jedną stronę, żałobną jakąś przerywaną nutą, jak łkanie człowieka.

Uciszył się szmer tłumu; biskup laską potrzykroć uderzył o stopnie ołtarza, i księgę otwartą, czytać się z niej zdał cichą modlitwę, zwrócił się potem ku ołtarzowi i zanucił posepnym grobowym głosem psalm *Deus laudem meam*...

Duchowieństwo śpiewało go z nim razem, a śpiew był dziwny i przejmujący. Też słowa, pieśń też sama całę inaczej brzmiała w inszej porze, teraz w śpiewie czuć było ból, wahanie się, lament duszy i trwogę... Niektórzy z duchownych ocierali oczy, głosu im brakło...

Dzwon bił żałośnie jak za umarłych. Miał ten obrzęd, którego znaczenia lud nie rozumiał, coś straszego w sobie, nie przewidywał końca, a jednak czuł w nim jakąś groźną potęgę...

Pieśń się skończyła i chwilę trwała cisza; biskup z księgą od ołtarza odwrócił się ku ludowi. Twarz jego była straszna, jak sędziego, który miał wydać wyrok śmierci. Zdala nawet stojący czytali w niej groźbę i mimowolnie ściskali się i cofali ku głębi... Wszystek lud niemal instynktowo zbił się w kruchcie... Biskup głosem podniesionym, uroczystym, piorunującym czytać począł:

„Wyklęty jest Bolesław, Kaźmirzów syn, król—ze wszystkimi współnikami i doradcami swojemi, ze wszystkimi, co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tem, co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymywali go od nich i nie głosili ich za bezecne.

Przeklęty niech będzie Bolesław w domu swoim, na dworze, przeklęty w grodzie, w mieście i na roli; przeklęty niech będzie, gdy siedzi, stoi, gdy je

KUCIŁA
JIK
KUCIŁOWIE
265

i pije, gdy pracuje i usypia; przeklętym niech będzie tak, aby w nim zdrowego członka nie było, od wierzchu głowy jego aż do podnóża stóp jego, niech wypłyną zeń wnętrzności jego, a ciało niech rozbije się w rozdrozia. Niech będzie przeklęty z Ananjaszem i z Zafirą, niech będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niech będzie przeklęty z Abironem i z Datanem, których ziemia żywych pożarła, niech będzie przeklęty z Kainem bratobójcą. Mieszkanie jego niech się stanie spustoszone, niech będzie wymazane z księgi żyjących i ze sprawiedliwych niechaj pisanym nie będzie; a pamiątka jego niechaj przepadnie i zczyźnie na wieki.

Niech na sądzie ostatecznym przeklęty będzie z djabełem i anioły jego i na wieki niech ginie, jeżeli się nie upamięta!”

Straszne te wyrazy biskup wymawiał powoli, głos jego rosnął razem z ich znaczeniem i potęgą, a skończywszy, świecę, którą trzymał w ręku, cisnął przed siebie na ziemię!

W tejże chwili duchowieństwo, otaczające go do koła, zaczęło rzucać świece, wołając głosem donośnym:

— Amen! — Amen! — fiat! — fiat!

Łoskot tych świec padających na posadzkę kościelną, zabrzmiał jakby piorun lecący z nieba... lud się cofnął. W kruchcie pomiędzy gromadą z kąta dał się słyszeć krzyk straszliwy, bolesny i hałas jakby upadającego ciała na ziemię.

Wszystkie oczy zwróciły się ku miejscu, gdzie kupka ludzi gromadziła się około omdlałego człowieka, którego starano się ocucić.

W ciemności coraz większej pogrążał się kościółek: na podłodze tylko rzucone świece, dymiąc do góry, gorywały. Biskup stał jeszcze czas jakiś nad straszną księgą, z której klątwę przeczytał, dał znak, aby ją zamknięto i pokłękłszy przed ołtarzem, krokiem poważnym, wiodąc za sobą duchowieństwo, nazad do zakrystyi powrócił.

Dokonało się, co zapowiedzianem było!

Obrzęd ten byłby może zgromadzonemu ludowi niezrozumiałym pozostał, gdyby dwaj klerycy postawieni u wniścia do kruchty, przy kropielnicy i przeciwległym filarze, słowo po słowie nie wykładali znaczenia każdego powolnie wymówionego wyrazu.

Zaledwie biskup znikł, gdy płacze, jęki i krzyki bólesci a strachu rozległy się wpośród tłumu. Trwoga padła na wszystkich. Jedni rzucili się, chcąc uciekać z kościoła, drudzy szlochając padli na kolana i kładli się na ziemię krzyżem... Zdało się im, że z królem całe państwo wykłute zostało, że jak burza klątwa zamąci kraj i zniszczy go, a w popiół i zgliszcza obróci.

Dzwon jeszcze ciągle pogrzebowym swym odzywał się głosem.

Krzyk i płacz, które się z kościoła słyszeć dawały, zaczęły u drzwi jego ściągać przechodniów, mieszczan, ziemian, lud prosty...

Od bliższych kościoła miejsc i domostw straszna nowina, niosąc trwogę niewysłowioną, jak pożar szła, szerząc się coraz dalej.

Z ust do ust lud podawał sobie.

— Król został wykłuty!!.. Nie mamy króla!...

Wyrazy te, których znaczenie i skutek dla większej części gminu obce były, zamykały w sobie tajemnicę pełną groźb, siłę jakąś, której nikt rozmiarzyć nie umiał, co ją tem straszniejszą czyniło.

Niektórzy rozpowiadali płacząc, iż siła klątwy ciężyla nie tylko nad głową winowajcy, ale nad wszystkimi ziemianami jego, wszystkimi, co z nim w jakimkolwiek było związku, co go dotykało, co mu służyło, co go słuchało. Każda pięć ziemi jego stopą dotknięta, przeklęta być miała z nim razem... Zająłowić miały pola, pomór wszystkie żywe wybie istoty, studnie wyschnąć, rzeki z brzegów wyjść miały i zalać osady, ogień paść z niebios, ziemia otworzyć wnętrzności swe dla pożarcia wykłutych...

Mdlały niewiasty, tuląc do piersi niemowlęta; ludzie twarzą na ziemię padali i z płaczu ryczeli, ta-

ką trwogą dnia ostatecznego brzmiała dla ludu ta kłatwa niesiona po grodzie, przedmieściach i sąsiednich siołach. Jęcząc i płacząc podawali ją sobie, rozbiegli na gościńcach ludzie. Tłumy gromadziły się coraz większe, mimo ciemności, oblegając kościół i mieszkanie biskupa; kładli się strwożeni, na stopniach zamkniętej świątyni szukając przytułku, lkając i zawodząc jękami.

Nikt nie śmiał wniknąć do domostwa, aby dach nie padł mu na głowę; oglądano się z trwogą na niebiosy czarne, w których głębinie spokojnie, cicho po burzy dziennej jakby obmyte, świeciły jasno gwiazdy błyszczące.

Noc już była, gdy król ze złych łowów wracając, z wesołą gromadą swoją zjawił się u stóp Wawelu, gdzie zalegały jeszcze tłumy owe płaczące i rozwodzące jęki i zale.

Samo spojrzenie na to nocne, niezwykajne zbiorowisko ludu coś straszego zwiastowało. Król ubodł konia, chcąc sam się spytać stojących bliżej, co się to działo, gdy na widok jego krzyk straszliwy rozległ się wpośród gromad; czarne te masy poruszyły się nagle, ścisnęły, rozproszyły i z jękiem a wrzaskiem zaczęły się trwożliwie rozbiegać na wszystkie strony.

Posłuszni panu Boleszycy na skinienie jego, napróżno puścili się gonić za uchodzącymi; każdy chroniąc się od zetknięcia z niemi, biegł i krył się — przeskakiwano płoty i rowy, chowano się do dołów, zamykano po domach, bo rzeczono im było, że jedno z wyklętymi zamienione słowo, mogło kłatwę przenieść na głowę każdego człowieka...

Popłoch rozległ się daleko po mieście, przedmieściu i polach.

Król, i ci co z nim byli, długo nie rozumieć nie mogli, ale dwornie ogarniała też zaraźliwa trwoga, przeczucie jakiegoś nieszczęścia, które wszystkich dotknąć musiało.

Rozbiegający się tłum zdala ryczał i jęczał na

okół gdziekolwiek oko i ucho sięgało. Niewidzialną siłą przeniesiona trwoga szerzyła się, rosła, potęgniała i jednym jękiem boleści napełniała powietrze...

Wśród ciemności nocnych i ciszy, ryk ten całego ludu, miał w sobie coś tak przerażającego, iż król, co się nigdy nie uląkł niczego, uczył dreszcz, przebiegający mu po skórze i włosy pnące się do góry.

Jedno tylko przyszło mu na myśl, że wróg jakiś napaść mógł gród jego, że trzeba było zbierać się, zbroić i bronić. Czesi i Niemcy stawali mu na oczach; ręką sięgnął po mieczu i z ust dobyło się przekleństwo.

Spiął konia wściekle, cwałem puszczając się ku górze na zamek. Tu w podwórcach stały kupami rozplakane niewiasty, potrwożona czeladź. Rozbite było wszystko, w beładzie, łzach i jękach. Widok króla i tu wywarł ten sam, co na tłumach skutek, — spostrzegłszy go, pierzchno wszystko, co żyło, niewiasty rzuciły się na ziemię, podwoiły krzyki boleści.

Boleszycy skoczyli z koni, otaczając pana, który już zsiadł i gniewny kroczył do dworu swojego. Twarz jego pałała gniewem, oczy ciskały pioruny.

Pierwszemi postaciami, które tu ujrzał tulące się u ściany, była zgrzybiała matka w osłupieniu stojąca nad omdlałą żoną jego, którą rozplakane dziecko, Mieszek, klęcząc w martwe blade lica i po rękach skostniałych całował... Tuż stał na pół obłąkany Władysław, który na widok brata wpadającego z gniewem, mimowolnie się cofnął. Wszyscy ludzie uciekali od niego!

Wśród tego rozbicia i popłochu Bolesław stał chwilę, nie pewien jeszcze co pocznie, rękę drgającą trzymał na mieczu i cisnął nią ręką jego.

Wzrokiem mierzył tłumy, biegał po twarzach, usiłując śmiać się, lecz usta ciągle mu się do pogąńskich przekleństw ścigały. Gromadka tylko Boleszyców, choć strwożona także, stała przy nim

zdając się oczekiwać na rozkazy, gdy, zmierzwszy ich oczyma król nagle się zawrócił i wszedł sam do dworca swojego.

Nikt mu nie dał słowa strasznej zagadki, ale ono było w powietrzu: Bolesław wiedział, że padła nań klątwa biskupia. W podwórzu stały kupy zebrane, niepewne, co z sobą czynić miały. Trwożliwsi już chcieli z zamku uchodzić, rzucając nawet w nim, co mieli; inni bładzili, wahając się, nie śmiejąc, ani odejść, ani chcąc pozostać: ręce łamali w rozpacz!

We drzwiach swoich z rozpuszczonymi włosami, blada, z rękami załamanymi stała Krysta, bez tchu, na pół omdlała, sama jedna, opuszczona, to się zanosząc od płaczu, to ręce i głowę tuląc do ściany, to oczyma obłąkanemi mierząc groźny tłum, który do koła snuł się i dworce oblegał. Sługi jej siedziały na ziemi i zawodziły, rwąc włosy, jak płaczki pogrzebowe.

Nieład na całym grodzie zwiększał się coraz, rozprzegało się wszystko, brakło ludzi; ci co byli, głowy tracili, nikt rozkazów nie słuchał, mało kto śmiał je dawać.

Wypuścił ktoś ulubioną klaczkę królewską, lub sama się z klatki wyrwała i nawykła do swojego pana, podbiegła pod okna dworca, gdzie ją chlebem karmiono i rżała głośno, jakby boleć chciała z innymi. Psy podwórzowe, jękami ludzkimi podrażnione, przeraźliwie wyły.

Długo król z izby nie wychodził. Późno w noc,—znużenie samo nieco spokoju sprowadziło; rozchodzili się po kątach ludzie, poukrywali, pokładli—dworzec stał ciemny, pusty i jakby wyludniony. Tylko drużyna królewska w izbie swej siedziała niema i wylękała, czekając na skinienie pana, któremu wierzą została.

Straże u drzwi trwały na zwykłych miejscach. Król nie zawołał nikogo. O drugich kurach wyszedł sam z izby, w której leżał.

Z włosami rozrzuconemi, w jednej sukni wysunął się z sypialni, stojącego u drzwi pominął, nie mówiąc słowa i wolnym krokiem puścił się, jak na przechadzkę, w podwórcę.

Nikt nie śmiał doń przemówić, gniewu się obawiając,—on ani spojrzał na nikogo.

W izbie mu było duszno, szukał powietrza, aby odetchnąć. Przez puste podwórza poszedł tak sam, psy tylko wierne ciągnęły za nim, to podbiegając, to stając, jak niepewne, czy mu towarzyszyć miały. Król szedł, niewiedząc dokąd i dlaczego, szedł, aby iść, aby się poruszać, by oddychać i w miejscu nie skostnieć i nie zdrętwieć.

Noc była ciemna, ale na tle jej rozeznac było można budowy zamkowe, które stały jak uspione w mrokach. Znużony pochodem gwałtownym a bez celu, król kilka razy obiegłszy dziedzińce, stanął wreszcie i podniósł oczy, aby dostrzedz, gdzie się znajdował.

Przed sobą rozpoznał kościół i drzwi, które z rozkazu jego wylamali służalcy. Podwoje już dzwignięte, stały w miejscu zaparte, ale widać było na nich jaśniejące ślady włamania świeżego na zczerniałem drzewie nawet wśród mroku łatwo dające się rozeznac.

Były to świeże rany na ciele świątyni.

Król podniósł na nie oczy, wlepił je i pozostał tak, ręce złożony, naprzeciw żelazem okutych podwojów w myślach jakichś zagłębiony.

O te drzwi, zaparte, pokaleczone miała się rozbić cała siła jego i potęga. Obalił je,—powstały, stanęły i znowu żelaznemi obęczami ujęte, zamykały mu drogę!

Nie mogąc od nich oczów oderwać, król długo pozostał tak niemy, gniewny, prawie nieprzytomny. On, co wielkiego swego imiennika chciał naśladować i prześcignąć, wspominał jego Szczerbiec i Złote Bramy i tamte wojny i swoje. Jakże mu doń było daleko! Tu jeden człowiek stał przeciw niemu,

śmiał mu wydawać wojnę i uragać się jego potędze! Miałżeby to ścierpieć ten, co rozdawał korony i na tronach osadzał?

Dniało już, gdy król na zamek wolnym krokiem raczej znużony, niż uspokojony powrócił.

Ludzie budzili się tu teraz ze wspomnieniem wczorajszej trwogi wstając i z przestachem wychodząc przeciw siebie, jakby ta noc zmieniła wszystko i nowych stworzyła ludzi. Patrzali sobie w oczy milczący, niepewni, wahający się, powątpiewając, czy życie wczorajsze na nowo się mogło rozpocząć.

Wielu bojaźliwszych z wieczora już dwór opuściło ukradkiem, inni powymykali się z rana.

O zwykłej godzinie jednak usłyszano na Skałce dzwonek, wołający na mszę świętą. Na zamku kościół pozostał niemy i zaparty.

Służba czekała rozkazów.

Później niż innych dni, król na nią zawołał. Boleszczyce wszyscy i dworska czeladź znalazła się na miejscach zwyczajnych. Gdy weszli znaleźli go już odzianym i zbrojnym, z twarzą groźną, bladą, a wielką mocą nad sobą jakby uspokojoną. Wnet posypały się rozkazy i pytania, jak dni powszednich, ani słowa o wczorajszym wzburzeniu i trwodze.

Wczorajszego dnia wracając, król w drodze dał rozporządzenie na nowe łowy w okolicy; powtórzył je teraz, nakazując, by natychmiast wszystko było w pogotowiu do ciągnięcia w lasy.

Brat Władysław jechać miał z nim razem—wysłano po konie, sokolników i pisarzy. Borzywój poszedł do izb, w których Władysław stał gospodą, lecz mieszkanie znalazł puste, książę ze dworem całym nocą jeszcze ujechał po cichu.

Nie śmiano nawet o tem zwiastować królowi. Zobaczywszy Borzywoja powracającego niemo, domyślił się może i nie zapytał go raz wtóry. Na wychodnem tylko sam jeszcze zboczył ku komorom książęcym, drzwi rozwarł, zajrzał w pustkę, w której tylko rozrzucone leżały posłania, uśmiechnął się

dziko i słowa nie mówiąc, poszedł ku koniom, które nań w podwórzu czekały. Był nie swój;—śmiejąc się, zagadywał do drużyny, hałaśliwie, krzycząc kilka razy na głos się odezwał, wydając rozkazy, oczyma powiódł po zamku, który i teraz wydawał się straszliwie pustym i oniemiałym,—konia spiał i pierwszy puścił się drogą z zamku wiodącą ku Wiśle. Miano się przeprawiać przez nią i puścić w lasy sąsiednie.

Dzień był jasny i piękny, niebo pogodne lekkiem białem zasiane chmurkami, wiosenne wesele wiało w powietrzu;—porankowy ten świat, na którego licu żadnej zmiany widać nie było na wszystkich strwożonych wczoraj podziałął uspakajająco;—i królowi też męstwo a buta zwykła wracała.

To, co się wczoraj stało, wydawało się jakby snem, zmorą jakąś gorączkową, marzeniem i ułudą. Bóg nie przestał być łaskaw na ziemię!

Słońce weszło jasne i ciepłe, powietrze czuć było wiosną, wiatr przynosił wonie młodej pory roku, drzew rozkwitłych zaledwie, kwiatów, co się otwierały, roli ożywionej rosą.

Na przedmieściach nie widać było ani ruchu wielkiego, ani nadzwyczajnego nic: życie zdawało się znowu płynąć dawnym swoim korytem.

— Widzicie!—odezwał się Borzywój do Dobrogosta, jadąc za królem,—widzicie, nic się nie stało!—Nic się nie stanie. Tchórze od nas pierzchnęli,—ze wstydem wrócą, a że tam klecha jakiś zuchwały króla się ośmielił kląć publicznie, czy to pan Bóg zaraz ma tego słuchać. Toć to przecież król, namaszczony i koronowany pan!... Z nim nie łatwo, a klesze damy naukę!

Dobrogost nie miał tej odwagi co brat; popatrzał nań, głową pokiwał i rzekł, niby z innej beczki poczynając.

— Co to nam na dworze ludzi wczoraj ubyło? Mnie się zdaje, że z polowania powróciwszy, znowu

się ich dużo nie doliczymy. Jak tak dalej pójdzie, to kto w końcu przy królu zostanie?

— My! — odparł rzeźko Borzywój — my! Kto chce iść, niech rusza — obejdziemy się bez niego! — Niech się tylko oglądają dobrze za siebie, bo im król tego płazem nie puści. Ja go lepiej znam, niż ty. Widziałeś, jak się dziś na głos śmiał i krzyczał, jak wesół był — wówczas on najgorszy, kiedy tak dokazuje. Nie chciałbym być w skórze tych, co mu teraz zawinią!

Dobrogost milczał.

O kilkaset kroków za promem i Wisłą na drodze spostrzegli orszak. Byli to władcy i ziemianie, udający się w gromadzie znacznej do Krakowa.

Żrazu jechali gościńcem wprost na orszak królewski, lecz gdy się zbliżyli i mogli w nim poznać Bolesława, widać było, jak się strzymali, zbili w kupkę strwożeni, nie pewni, co począć mieli, a potem nagle w lewo wąską drożyną puścili się na pola, aby uniknąć z królem spotkania.

Było to widocznem i do zrozumienia łatwem. Król się odwrócił do swoich i na Borzywoja skinął.

— Na przelaj jedź! — zawołał zburzonym od gniewu głosem — jedź i patrz mi, którzy to są!

— Miłościwy panie — odezwał się Borzywój — nie potrzebuję po to jechać, aby ich poznać. Po zbroi, koniach i postawie ztąd ich już widzę. — Leliwa, Kruk i Brzechwa z czeladzią.

Król wybuchnął śmiechem szorstkim.

— Jadą do biskupa, przyjaciela swego na radę. Niechajże dobrze radzą, bo im, i jemu nie wiele czasu zostało.

Pomimo tego szyderstwa i lekceważenia wzbudzony był król mocno, niepewien siebie; żrazu wzgardliwie pominął oddalających się, potem zawahał się, stanął, chciał ich ku sobie powołać i podjechawszy kawałek drogą, kazał w róg zatrąbić, aby ich ku niemu zwrócono.

Dano znak... Jadący się zatrzymali, zdawali na-

radzać między sobą, a gdy król gwałtownym ruchem ręki sam ich ku sobie wołać zaczął, czeladź w polu zostawiwszy, podjechali samotnie.

Leliwa, Kruk i Brzechwa wszyscy szyłki mieli na głowach i nie myśleli ich uchylać przed królem. Zbliżywszy się ku niemu na pół stajania zatrzymali konie i dalej nie postępowali.

Tedy król sam jeden, czeladzi swej kazawszy w miejscu pozostać, poskoczył ku nim. Natarł na nich mierząc groźnie oczyma; ci, nieporuszeni, stali na koniach, nie zsiadając z nich i zwykłej czci mu nie oddając.

Król znał ich wszystkich bardzo dobrze, niemniej zapytał:

— Coście za jedni!

Leliwa po namyśle rzekł.

— Ojczyce tej ziemi jesteśmy, jam Leliwa, a oto Kruk, który Cześnikiem był u nieboszczyka pana, a to Brzechwa.

— Azali mnie nie znacie? — krzyknął król.

— Zналиśmy wczoraj — odezwał się śmiało Leliwa. — A no dziś cię nie znamy.

— Chcecie, abym się ja wam dał znać?

— Gotowiśmy na wszystko — mruknął Kruk.

Król patrzył milcząc, jakby nie wiedział, co powiedzieć miał.

— Przecz że mnie znać nie chcecie? — krzyknął groźnie.

Leliwa chwilę się namyślał, inni też nie odzywali się, jemu głos zostawując.

— Bo wy matki swej znać nie chcecie — rzekł powoli.

— Jakiej matki?

— Kościoła świętego i sług jego — mówił Leliwa.

Król szydersko na nich spozierał.

— Tak was klechy nauczyły — zawołał — a ja klechów i was nauczę posłuszeństwa dla ojca! Jam

ojciec was, matka idzie nie przed a za ojcem w małżeństwie. Rozumiecie!!

Władcy milczeli.

Król miał widać na duszy wiele, bo, choć zwykle nie rad rozmawiał, teraz rozmowę przedłużał namiętnie.

— A wam co do mojej kłótni z tym klehą? co wam do kościelnej sprawy! Wasza powinność ziemiańska nie klesza. Słyszycie!

Leliwa znowu pomilczawszy, rzekł poważnie.

— Myśmy nie poganie, chrzest święty przyjęliśmy, a na nim posłuszeństwo kościołowi przysięgali.

— A mnieście to posłuszeństwa niewinni?

— Kto pod klątwą kościelną jest—odezwał się Leliwa—ten rozkazywać niema prawa.

Rzekł to z zimną krwią i powagą wielką, przeciw której król nie miał co postawić oprócz śmiechu swojego, ale oczy mu pobłyskiwały jak u zwierzęcia dzikiego, i trzymał się za pas u miecza, jakby go chciał dobywać.

— Precz! Won mi z oczów, chcącili by mieć całe!—wrzasnął—won! klecha za siebie i za was zapłaci, bo on was głupich wiedzie do nieposłuchu, — precz!

Ręką wskazał w stronę.

Leliwa, Kruk i Brzechwa zwołna poczęli konie zawracać i ani głowami nie kiwnawszy, odjechali, nie oglądając się na niego. Król jak stał w miejscu pozostał chwilę jeszcze, oczyma ich ścigając, potem konia spiąwszy, w cwał ruszył dalej, a cały dwór puścił się i gnał za nim pędem.

Pomijając ziemian, Boleszczyce podnieśli tylko ręce groźnie, ukazali im pięście, a niektórzy nawet obnażone miecze. Garstka ziemian nieulekniona podniosła dłonie i dobyła żelaza. Tak łajac się na wzajem i beczeszcząc minęli, a król pędził dalej.

Na zamku po wyjeździe królewskim cicho było. W komnatach dwu królowych, jak wczoraj płacz ciągnął i modlitwy. Babka i matka tuliły przerażonego

Mieszka, któremu wytłómaczyć nie śmiały i nie mogły, co się stało, ani wyjawić, co groziło. Obie powtarzały, że ani w Kijowie, ni na Rusi nigdyby takich dni nie przeżywały. Z rana wysłała królowa dworzanina do księdza staruszka, który zwykle u niej modlitwy odprawiał i nauczał religii królewicza. Ale zrana nie znaleźli go nigdzie i nie wiedziano, gdzie się znajdował.

Był to Benedyktyn, mnich już podeszłego wieku, Włoch, który z pierwszymi jeszcze księżmi w Tyńcu się osiedlił, a po zburzeniu klasztoru za Masławowskich czasów, schronił się do Krakowa.

Staruszek wyuczył się był języka, i dawnoby napowrót przyłączył się do swej braci, którą Kaźmirz do Tyńca znowu sprowadził, a Bolesław sam osadził w Mogilnie, gdyby królowa, nawykła doń, dla syna go nie zatrzymała.

Obcy krajowi, w którym długie i ciężkie przebył lata, zatopiony w modlitwie a zarazem kunsztmistrz, bo obrazy świętych na cześć i chwałę Bożą do kościołów przedziwnie malować umiał, Ojciec Otton siedział na zamku odosobniony, msze o świcie po cichu odprawiał w kościele, godzin kilka trawił przy małym Mieszku, zresztą z duchowieństwem nawet nie częste stosunki miał. Biskupa widywał tylko zdala, znał go mało i nie narzucał mu się wcale.

Szukano teraz O. Ottona po całym dworze, długo znaleźć go nie mogąc. Izba jego nie zamknięta, nie była jeszcze opróżnioną; stały w niej złożone deski na których malował, skorupki z farbami i pendzle, leżały porozkładane pergaminy i księgi; nic nie zwiastowało, ażeby się już wyniósł z zamku na zawsze. Naostatek powracającego z miasta, wylekłego i bladego, schwycił na drodze posłaniec królowej i prosił go usilnie, ażeby natychmiast szedł z nim do pani.

Staruszek małowówny zawsze, zawahał się zrazu, powzdychał, zdał się niepewnym, co czynić ma,

obejrzał się trwożliwie do koła, w ostatku leniwym krokiem pójść musiał za przewodnikiem, chociaż widać było, iż niewielką do tego miał ochotę.

Ujrawszy go w progu, królowa młodsza porwała się z siedzenia, biegnąc przeciwko niemu; Mieszko, który się do staruszka przywiązał wielce, poskoczył także, wyciągając rączki. Objął go niemi, uśmiechając się i radując mu się wielce. Lice O. Ottona rozchmurzyło się trochę, zapłakał, głaszcząc Mieszka po główce jasnej i przytulił ku sobie.

Wtem królowa Wielisława szepnęła mu, aby się oddalił, co dziecie spełniło nie zaraz, ociągając się i niechętnie; trzymało jedną rączką suknię staro Benedyktyńską i puszczać jej nie chciało...

Po odejściu jego do komory, królowa rozplakała się szlochaniem wielkiem, oczy tuląc w dłonie obie.

— A! ojcie mój!—zawołała—pociesz mnie, ratuj, mów, radź! — Co się stało z królem! Jaką to klątwą, jak piorunem, biskup nań rzucił!

Otton długo stał milczący, z oczyma w ziemię spuszczone.

— Miłościwa pani — przebaknął nareszcie, wahając się i nieśmiało. Klątwa ta, klątwa kościelna rzeczą jest straszliwą! żadna siła ziemską przeciwko niej się ostać nie może.

— Lecz on pan! on król!—wołała królowa.

— Na pany, króle i cesarze rzuca kościół klątwy i padają od nich—mówił mnich.

— I niema ratunku?—krzyknęła, ręce załamując zapłakana niewiasta, głosem rozpaczliwym.

— Ratunkiem, ratunkiem jedynym, upokorzenie się, opamiętanie, pokuta!—rzekł mnich...—Pokuta publiczna!

— Królowa powtórzyła te wyrazy, ręce podnosząc do góry.

— Ale król mój, Bolesław, nigdy tego nie uczynił

— Mnich westchnął tylko...

Wielisława płacząc, wsparła się na stole i milczała, bo lzy jej mówić nie dawały.

— Opuszczają nas wszyscy!—rzekła w końcu—Zechciecież i wy opuścić nas, Mieszka, któremuście byli ojcem duchownym?

O. Otton dłonią drżącą powiódł po czole, na które zimny pot występował.

— A! miłościwa pani!—odezwał się. — Ja jako duchowny, jako zakonnik biedny, starszym moim winieniem posłuszeństwo ślepe. — Gdzie mi każą, tam pójde—nie wińcie mnie.

Królowa znowu mocniej płakać zaczęła.

— Być że to może,—poczęła—aby ten biskup dla króla, dla nas był tak okrutnym i zawziętym... by wymagał od pana swojego takiego upokorzenia?—a gdybym ja poszła doń, ja królowa z dzieckiem królewskim, z matką królewską i starała się skruszyć serce jego?

Zakonnik głową potrząsł.

— Nie pomogłoby to nie—odezwał się—bo nie od was, coście nie nie przewinili, ale od króla biskup wymaga skruchy, pokuty i poprawy. Miłościwa pani, padnijcie raczej do nóg królowi, panu swojemu, niechaj on zmiłuje się nad sobą, nad wami, nad dziećciem i nad tą ziemią całą.

Królowa stała długo, zwiesiwszy głowę, spuściwszy ręce załamane.

— A, ja! ja!—rzekła upokorzona—cóż ja mogę, ja niewolnica i sługa, choć małżonka. Mnie pan mój nie rad słuchał nigdy, a dziś, dziśby mnie popchnął nogą! Nie jestto niewiasty dzieło... Ojcie! ojcie!—radźcie mi inaczej, radźcie i duszy mojej i dziecku jedynemu.

O. Otto, którego głos królowej przejmował, któremu żal było jej i dziecka niewinnego, namyślać się począł i nierychło odezwał nieśmiało.

— Jam też mnich, a w kościele Bożym sługa mizerny—modlić się umiem i słuchać, — na radę mi doświadczenia zbywa. Wiem że ja co czynić? Chy-

ba jedno, dziecko zabrawszy, z niem uchodzić do rodziny swej na Ruś, opuścić króla, aby duszy nie zgubić i niewinnego syna ocalić.

Królowa usłyszawszy to, wielkim głosem, przerażona krzyknęła.

— Ja! jabym go opuścić miała, teraz właśnie, gdy nieszczęśliwym jest? ja?—A! nie!—nigdy, ojcze, mój Bóg na niebie miłosierniejszym jest od biskupa; Bóg żonie i służebnicy nie poczyta za grzech, iż pozostała wierną ślubom swoim!... Ja—opuścić go!—a dziecko niewinne może zgrzeszyć, że przy ojcu pozostanie? Ja z nim rozstać się też nie mogę. A, nie, nigdy!—płacząc powtarzała królowa—niech się wola Boża stanie nad nami!

Ojciec Otton stał łamiąc ręce, łzy mu ciekły po twarzy.

— Dziecięcia żal—rzekł.—Niezbadane są wyroki Boże, a pismo mówi, iż za grzechy ojców na pokoleniach przyszłych Bóg mścić się będzie. Dziecię.. począł z cicha, lecz zobaczywszy płacz królowej, zatrzymał się i umilkł, głowę spuścił, sam pot i łzy ocierał.

Wielisława szlochała, płacząc padła na siedzenie swoje, a Mieszko, usłyszawszy ją, zachodzącą się, wbiegł niewołany wprost do matki, uwiesił się jej na szyi, a łzami do płaczu pobudzony, razem całować ją i łkać począł.

Płakali tak wszyscy, bo słów im brakło. Otton chciał królowę pożegnać, a nie miał odwagi powiedzieć, że ostatni raz próg ten przestąpił. Stał u drzwi niecierpliwy, zapominając o rozkazie, który mu natychmiast opuścić dwór polecał.

Upłynęła tak chwila bolesna; królowa łzy otarła gwałtownie, syna odprawiła znowu i zbliżyła się jeszcze do staruszka.

Nie szło już jej o siebie, ale o pana i małżonka, którego miłowała opuszczona, przebacząc mu wszystko.

— Ojcze mój—rzekła cicho—powiedz mi, nie

tając nic, prawdę całą. Jestli także przeklęty z nim, kto go dotyka, kto z nim żyje, kto go nie opuści i nie zaprze się? Bóg jestli tak okrutnym, kościół tak nielitościwym?

Mnich zadumał się nieco.

— Miłościwa pani moja—rzekł—jam ubogi zakonnik, jam niewolnikiem w tem królestwie, którego Papież i Przełożony Zakonu naszego królami są. Ja nie stoję na tych wysokościach, z których widzi się wszystko. Oczy moje nie sięgają daleko, pod stopy patrząc, rozkazów słucham, nie wiem wiele. Jedno wiem, iż rzeczono nam,—opuścić go—ja muszę...

— I żona, i dziecko!—zawołała królowa.

— Wszystkim rzeczono—ciągnął dalej ojciec Otto—opuścić go, a to dla tego, aby pychę złamać i zamienić ją w pokorę.

— Ale tego człowieka nie złamie nic—odezwiała się królowa.—On żelazny jest!

— A! pani moja—szepnął mnich.—Żelazo, którego nic nie złamie—rdza zjada.

Umilkła królowa, łzy płynęły po licu białem, nie śmiała się pytać więcej.

— Więc i wy, wy nas rzucicie!—szepnęła raz jeszcze po długim przestanku.

— Rozkaz mi dano—odparł zakonnik i stał milczący.

Zakrywając sobie oczy, Wielisława płakała po cichu, mnich zasmucony, zboląły stał, poruszyć się nie śmiejąc, pocieszać nie mogąc.

Z za zasłony z drugiej izby wyglądał trwożliwie i niespokojnie Mieszko, którego płacz matki wyzywał a rozkaz jej odsyłał, aby rozmowy nie był świadkiem; wyrwał się powtórnie, przybiegł obejmując ją rękami, i płakać zaczął z nią razem. Pieszczone dziecko nie pojmowało, co się z matką, z nim i dokoła działo;—w duszy obwinięło może mnicha, że i on te łzy wyciskał, spoglądając nań z wymówką i smutkiem.

Starcowi też poruszyło się serce, dłonie drżące

wyciągnął ku dziecku i wezwawszy je, przycisnął do piersi, niespokojnie poczynając szukać czegoś pod suknią.

Miał tam zawieszony, święcony niegdyś w Monte Cassino, otarty o relikwije święte, krzyżyk dany mu z błogosławieństwem. Był to jego skarb największy i jedyny. Wolał się go wyrzec dla siebie, byle nim niewinne dziecko od zemsty niebios zasłonić.

Zdjął drżącymi rękami z piersi ów krzyżyk, wytarty długiem noszeniem i pocałowaniem, i szepcząc modlitewkę, włożył go na szyję dziecka, kryjąc pod zwierzchnią sukienkę. Nad główką jego zakreślił krzyż święty i uściskawszy dziecko raz jeszcze, wymknął się od płaczącej pani.

W podwórzu, na drodze oczekiwali nań niespokojnie inni z zapytaniem, ale starszek przelektli, nie odpowiadając im, przemknął się co żywiej i zniknął w zabudowaniach, z kąd w godzinę później wyszedł o kiju z małym węzełkiem swoim pod pachą.

Na drodze już zabiegła mu rozpaczona Krysta z zapłakanymi oczyma, padając przed nim na kolana. Uchwyciła poję jego sukni, chcąc go zatrzymać, pytać, błagać, ale o. Otton, zaledwie ją ujrzał i poznał, szarpnął suknię, wyrwał się przerażony i niemal biegiem dopadł wrót, za którymi zniknął.

Od wczorajszego wieczora Krysta, oprócz Borzywoja, który wpadł na chwilę i Zbiluta, którego sama przywołać kazała, nie widziała nikogo. Król nawet zdawał się o niej zapominać.

Sama, opuszczona, rzucona była na łup czarnym myślom i trwodze. Pierwszy Borzywój opowiedział jej po swojemu o tem, co się stało, a czego ona wcale zrozumieć nie mogła. W dziecięcej głowie jej pomieścić się nie umiało, aby jeden słaby książę, mógł potężnemu grozić królowi, który wojsko i siły miał za sobą.

Zbilut i inni przybiegli do niej, przynosząc z sobą gniewy i trwogę; Krysta z początku burzyła

się tylko na zuchwalstwo, — lecz widok powszechnego przerażenia i ją nareszcie obawą napełniał.

Tej potęgi jakiejs tajemniczej, której się wszyscy tak lekali, nie mogła dojrzeć, zrozumieć, i dla tego coraz zabobonniejszą trwogą czuła się przejętą.

Chciała koniecznie widzieć króla, sądząc że go potrafi popchnąć do gwałtownego kroku, któryby tę niepewność zakończył; — czekała nań wieczorem, czekała, nie śpiąc noc całą, widziała go błędzącego w ciemnościach, stojącego pod kościołem — nie przyszedł do niej.

Nie była więc już niczem dla niego, dla nikogo! — Dwór, ludzie zapomnieli o niej, odstąpili. Strach i gniew na przemiany nią miotali.

Czekała ranka w oknie.

— Przyjdzie z rana! — mówiła sobie, — ale czekała nadaremnie. Widziała jak król wyjechał na łowy, minął okno jej, nie spojrzawszy w nie, nie zwróciwszy się ku niej, nie pozdrowiwszy zapłakanej.

Krysta padła na posłanie i wypłakiwała piękne oczy. Służba jej nawet niewierna, gdzieś się porozbiegała, nie było jej, nie mogła nawołać, nikt nie słuchał i nie przychodził. Samą ją tak rzucili.

Tak dzień cały spędziła na przemiany gniewając się i płacząc. Wody nie było we dzbanku, zapomniano przynieść jadło.

Sama poszła czerpać do studni; nikt, widząc ją, nie odwrócił się, nie zlitował, nie pomógł. Dzień ten był, jak wiek długi; — płakała, dumiała, spała, narzekała sama na siebie, na króla, na dołę swoją.

Niepokoił ją odjazd pana. Cóż się z nim stało i z drużyną? Miałże powrócić, czy może odjechać i opuścić ją na zawsze!

Wieczór tak nadszedł leniwo; wieczór coraz ciemniejszy a króla nie było. Słuchała w oknie tententu koni, szelestu, głosów, które zdala poznawać umiała.

Nareszcie u podnórza góry doszła ją jakaś wrzawa.

BOLESZCZYCE

D. E. FRIEDLEIN
W KRAKOWIE

— To on, to pan jechał!

Wybiegła w podsienie, stanęła w koszuli jednej, bosa, z włosami w nieładzie, patrząc w ciemności. Serce jej biło, skronie pękały,

— A! to on,—to on! Poznała go już niewidząc, wyciągnęła ręce ku niemu, krzyknęła boleśnie.—Konie stanęły... Słyszała już brzęk jego miecza, chód jego stopy, dźwięczenie ostrogi złotej—zbliżające się kroki—to on! —I Krysta omdlała zawiesiła mu się na szyi.

Na ręku wniósł ją Bolesław do izby i złożył na posłaniu, głosem jak burza strasznym, krzycząc na sługi. Z dziewczek żadnej nie było!

Klasnął na swój dwór i kazał służbę za włosy przyciągnąć do pani. W gorączce był tego wieczora, w gorączce łowów i myśli bojujących. Pozostawszy sam z sobą, nabrał znów męztwa, drażniąc się i pobudzając;—czuł się znów silnym.

Orszak, który go otaczał, wojacy jego byli mu posłuszni, z niemi, z tą garścią odważnych jak on sam ludzi, gotów był rzucić się na tysiące,—nie lękał się już nikogo.

Gdy Krysta po omdleniu otworzyła oczy, ujrzała twarz pańską nad sobą; światło się już w izbie paliło, dziewczki strwożone, zapłakane, pobite i pokrwawione, pilno się koło niej krzątały.

Odetchnęła, jakby odrodzona na nowo, po dniu i nocy strasznej męczarni.

Ciemnemi oczyma patrzył na nią król i dumiał.

— A! panie mój! królu mój mileńki — wy Krysty swej, wy sługi swojej nie porzucicie, — odezwała się głosem słabym i pieszczotliwym, wyciągając ręce ku niemu —Wszyscy mnie opuścili wczoraj. Wody, nawet kropli nie było. Krysta boso sama do studni chodziła...

Król wrzał gniewem.

— Zasieć każę te sługi i psami wyszczuć ze dworu—wołał—podłe suki, którym nigdy wierzyć nie

można... Uspokój się Krysta, przepędzę te wiedźmy, znajdziemy inne.

Wstała z posłania blada Krysta, na której twarzy jeden ten dzień i noc, straszne zostawiły ślady—oparła się o pana swego i płakała.

— A!—mówiła cicho — jak to strasznie samą tak zostać, nie mieć nikogo i ginąć trwogą każdą godzinę i umrzeć nie móc nigdy. Królu mój! nie opuszczaj Krysty twojej.

Król już tego wieczora był znowu po dawnemu pełen męztwa, lekceważenia i buty. Śmiał się złośliwie.

— Podły lud! podli ludzie! — wołał.—Rozpuściło się wszystko — nadtom był dobry. Jutro, prędko pokażę im, co mogę! Wniść musi wszystko do ładu, ale się krew poleje!—dodał ciszej.

Na myśl mu przyszło, że za Krystę go właśnie biskup upominał i wyklinał, chciał owszem wobec ludzi pokazać, iż się nie uląkł i zmieniać nic nie myślał. Gdyby jej nie miłował nawet namiętnością tak wielką, byłby na swoim chciał postawić i kochanie jej okazywał... Bolało go opuszczenie Krysty całodzienne, należała się jej płaca za łzy wylane, zawołał więc na Borzywoja, aby czeladź mu wieczерę niosła do Krysty... aby widzieli wszyscy, że się nie strwożył, i nie ustąpił.

Słał po gędzbiarzy, po miód, wino i służbę, po cześników i podkomorzych.

Na skinienie królewskie, służba się rozbiegła posłuszna po dawnemu.

Krysta tymczasem pobiegła do komory trefić rozrzucone włosy, suknię wdziać złocistą, piękną wynieść do swojego pana.

Bolesław tymczasem wyszedł w przedsienie do swej drużyny do Boleszczyców, zalecając im, aby było wesoło a huczno; żeby się zamek cały śpiewami, gędźbą i okrzykami rozległ.

Stoły rozkazał powynosić na podwórze, miód

i piwo łać w bród i ciągnąć do nich jak najwięcej ludzi;—pić, i śpiewać, i skakać do białego rana.

— Niech biskup słyszy i widzi, że nam dobrej nie odjął myśli, żeśmy głów popiołem nie posypali, a o jego gniewy nie dbamy. Niech drży klecha!

Rozbiegli się natychmiast dworscy, budząc, pędząc, ściągając lud i hałasem wielkim napełniając podwórca wszystkie.

Z przybyciem króla jakby czarami zmieniała się zamku postać; w przelekłych wstąpiło meztwo. Ci, co się kryli, powylazili z kątów, wesołość pańska dodawała im odwagi. Toczono beczki, śmiejąc się i pokrzykując, ustawiano z hukiem stoły, zawadzono krzykliwe pieśni, śmieli się wszyscy, a zwołane trąby i rogi wojenne od czasu do czasu serca dodawały, podpowiadając pieśniom i hukaniom.

Pochodnie powynoszono w podwórza, ażeby zamki w światłach gorzał zdala, rozpalono stosy łuczywa; Boleszczyce chodzili sami, krzycząc na całe gardło i drugich zmuszając aby, chcąc czy nie—byli weseli a wrzawy robili jaknajwięcej.

W mieście i na przedmieściach ludzie się pobudzili, patrzyli i słuchali.

— Król się weseli—mówili jedni.

— Szatan harce wyprawia! — szeptali żegnając się duchowni. Strach i podziwienie ich ogarniało. Król się więc nie uląkł i szydził sobie z biskupa i kościoła?

Kto silniejszym miał być: biskup ze swą kłutą, czy Bolesław z zuchwalstwem i urągowskim? Wątpliwość wstępowała w serca.

Biskup siedział na Skałce nad księgami swemi, na rękach oparty, w myślach zatopiony, gdy do niego wpadł kleryk i przykleknawszy, pocałował go w rękę.

W okno biło światło zdaleka.

— Co to za łuna tak świeci? — spytał biskup.

Na zamku stosy i pochodnie goreją — rzekł przybyły.

— Co to za wrzaski słyszać?

— Na zamku król wielką wyprawia biesiadę i weseli się—odparł kleryk.

Wstał biskup od pulpitu, otworzył błoniste okno, patrzył i słuchał. Aż tu dochodziła wrzawa i okrzyki dzikie. Posmutniało mu oblicze i oczy niemal zaszczyły łzami.

— Stań się wola Twoja!—rzekł po cichu.

Zwolna wyszedł aż na próg domu swojego i oczy ku Wawelowi obrócił. Nad górą zamkową wznosiła się łuna krwawa i dymy iskier pełne, buchało z niej światło i lały się pieśni swawolne, pogąńskie.

Bolesław na górze, na wałach stał z piersią odsłoniłą, bo w niej gorzał gniew płomieniem, patrzył w dół ku Skałce; urągał się w ciemnościach zanurzonemu domostwu, które stało otwarte i bezbronne.

— Gdybym chciał, mówił w duchu, dziś, zaraz, skinałbym, zgniótł klechę, w perzynę obrócił tę kleć jego, i wyniósł go na mieczach. Ale nie, niech drży z trwogi, niech czeka... niech godziny liczył nie ujdzie rąk moich! Zamknie przedemną raz jeszcze drzwi kościoła, ja mu drzwi życia zamknę na wieki. Do Rzymu posłę bryłę złotą. Co im jeden biskup, jeden klecha, poddany mój! Nikt się nie ujmie za niego! Przykład dać trzeba. Dość suchej walki, do pierwszego spotkania.

II.

Nazajutrz po kłatwie rzuconej na króla, wieść o niej biegła od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, z ust do ust, piorunem się rozchodząc po kraju całym.

Zdawało się, że ją jakaś niewidzialna siła dźwignęła i na skrzydłach niosła. Ludzie się z nią spotykali na gościńcach, na rzekach płynąc, oracze na łąkach, kosarze na łakach, przylegała do obcych podróżnych, szła jak mór, który niesie powietrze.

A od dworu do dworu widziano tych dni jeżdżącego człowieka, na koniu okrytym kawałkiem lichego sukna, w odzieży prostej i odartej, z głową obnażoną, z brodą rozwianą, z włosom rozczochranym, który gnał bez dróg od wsi do wsi, wjechawszy w podwórze porzucał konia samopas, szedł do dworca do ziemian, stawał przed nimi, wywołał słów kilka gorących i po chwili nie spoczawszy, siadał znowu na szkapę, jechał dalej.

Stary Odolaj chodził z Okiem i Hyżem po swem podwórku w Jakuszowicach, gdy do wrót ten gość odarty zastukał.

A Oko mówił panu.

— Człek jakiś na mizernej szkapie, obdarty, bez szłyka, w sukmanie prostej, zdyszany, dobija się na gwałt, posłany być musi chyba od kogoś!

Hyż patrzył dziko ku wrotom.

— Niech go puszczą—rzekł Odolaj.

Otwarto jeźdźcowi, który z konia zaraz zeskończył. Nim Hyż, który już gotował się biedz, mógł się rzucić na niego, odwołał go stary i przy nogach leżeć kazać, a pies legł, mrużąc, posłuszny.

Zbliżał się ów dziwny poseł, daleko śmieiej, niż na jego odzież i stan przystało. Suknie miał wyrobnika—a postawę pańską.

Odolaj posłyszawszy kroki zbliżające się, zawołał.

— Coś zacz? Mów.

— Mściśław z Bużenina—rzekł przybyły śmiało,—ten, któremu król niepocziwie żonę wziął, któremu dom zesromocił, łoże pokalał, którego uwięził i na urągowisko puścił. Mściśław jestem! ten, do którego krzywdy z innemi i twoje wnuki i prawnuki przyłożyli się, służąc swojemu panu nie jak rycerze ale jak podłe niewolniki. Mściśław jestem, który nawołuje do zemsty, do sprawiedliwości. Biskup na króla rzucił klątwę, przeklął kto z nim, kto mu służy, kto pomaga, kto się o niego ociera. Twój z nim przekłeci, ród twój, krew twoja...

Stary słuchał, ślepemi oczyma patrząc się zdając na wściekłego i dyszącego gniewem człowieka, któremu wargi wyschłe popękały od gorączki i krwią płynęły, oczy krwią zachodziły, a lice było żółte i czarne.

— Nie bluźń, ty, poganinie jakiś! — krzyknął gniewnie stary—nie bluźnij, plugawcze! Ojcem twym i dziadem mógłbym być, a lat i włosów moich nie uszanujesz—zbój! Dla jednej niewiasty twojej, coś ją trzymać nie umiał, ma się całe królestwo obrócić w perzynę!

— A! niech się w perzynę i zgłiszce obróci—krzyknął nie zmiészany Mściśław — niech wszystko przepada! On, i królestwo jego, i wy wszyscy jego współnicy.

— Wściekły wilku, nie człecz!—począł w gniewie stary Odolaj. — Któż ci to mówił, że my jego współnikami jesteście!

I nogą a kijem począł bić o ziemię, trzęsąc się cały. Pies podniósł się, zęby wywarł i ujadać począł, nie mogąc się ruszyć, a że stary go uderzył,—zawył.

— Kto ci mówił, że my jego współnikami? — ciągnął Odolaj...—Ja ród mój przekląłem, jeżeli mu służyć będzie, nie podaruję mu, znać ich nie chcę. Zapieram się. A co ta nędzna garść znaczy?

— Z garści się korzec sypie — zawołał Mściśław, nie ochłonawszy—ale twoja garść, stary Odolaju, zostanie wkrótce samą. Jadę od dworu do dworu, wołam w imię nie moje, ale jako mi biskup przykazał, aby od niego precz szli wszyscy—precz!—słyszycie! I odstąpią go, muszą, wszyscy, krom waszych. Srom wam i hańba, stary! Srom i hańba na ród!

Odolaj drżał z gniewu.

— Gdybym oczy miał, dawno byś ty dłoń moją poznał—zakrzyczał.

Mściśław się zaśmiał, Hyż zawarczał.

— Przybyłeś mi się tu uragać na moich śmieciach?—zawołał Odolaj.

— Nie—rzekł pan z Bużenina—ja ci przyszedłem oznajmić, abyś posłał po nich i ratował siebie i ich. Mam litość nad twemi włosami siwemi—ale nad ich krwią nie mam litości. Ślij do nich przykazem, zaraz...

Stary głową trząść począł.

— Tak—rzekł—pośle;—a ty tu legnij mi, leż i czekaj, ażebyś był świadkiem, co im rzeknę.

— Ja? leżeć? czekać?—rozśmiał się Mścisław— a maszże ty taką siłę, coby mnie przykuła choć na pół dnia do ziemi.—Ja muszę jechać, wołać, budzić.—Gore! Aby wszyscy szli jako do ognia przeciwko niemu, na niego... Wyklęty jest! Precz z nim! Wyklęty!

Odolaj wstał i począł się zbliżać na głos, idąc ku niemu.

— Niech cię tam słota niesie i wichry!—krzyknął—jedź, biesie, na złamanie karku; ażebyś mi tu był trzeciego dnia na zaraniu, jeżeli cię Lich nie porwie. Rozumiesz! Trzeciego na zaraniu.

— A czemuż to ja mam twoich rozkazów słuchać?—spytał Mścisław.

— Bom ja stary i ślepy, a tyś wściekły i bezrozumny! ty—ty, coś się w jednej niewieście do szalu rozmiłował, że ci oczy zabiegły krwią a serce zemstą.—Jedź, jedź a do trzeciego dnia, byś mi tu był—a nie będziesz—bodaj cię wiley szarpali.

— No, to będę—rzekł Mścisław.

Ani słowa nie mówiąc, szedł zaraz wprost do konia, który się paś na murawie, głowę mu podniósł, skoczył nań, a gdy siadł, Hyż nie pytając pana o pozwolenie nagle się kopnął aż do szkapy, rwąc się jej do pyska i przeprowadzając go szczekaniem zajadłem aż za wrota. Gdy Mścisław już za bramą był, pies ziemię zębami pochwycił i gryść ją począł ze złości. Stary wcale mu tej zabawki nie wzbraniał.

Oko, stojąc przy starcu, śmiał się po cichu ze psa i ruchami rąk jeszcze go podszczuwał.

— Oko, skocz mi duchem po Kota, — a sam usiadł na wałach i pies zmęczony przyszedł mu się u nóg położyć.

Biegiem poleciało chłopię i natychmiast przyniosło z sobą parobka, który do pana się zbliżywszy, do nóg mu się pokłonił.

— Kot? — zawołał stary. — Konia mi weź zaraz i leć do Krakowa—moich znasz, co tam są?

— Znam panie.

— Pierwszemu, którego spotkasz powiedz, że Odolaj dziad przykazuje mu, aby natychmiast konia wziął, nie zważając na nic i do Jakuszowic się stawiał.

Ledwie to rzekł, Kot był już na powrót w szopie, sukna kawał na konia rzucił, pędził we wrota i zniknął.

Odolaj tego dnia nie przysiadł, ani spoczął, nogami staremi całe swe zamczysko schodził w około sto razy, a co się położył ze znużenia, to zrywał natychmiast, jakby go co piekło i gnało znowu.

Tyta widząc, że ojciec się zamęcza, przyszła do niego z prośbą, aby wypoczął trochę; ofuknął ją stary.

— Babo ślepsza odemnie, idź do kąta kądziel prząć, co ci do mnie!

Oko chodził za starym płacząc i drżąc; Hyż w końcu położył się w pośrodku dziedzińca na trawie i wzrokiem tylko za panem wodził. Tak było tego dnia i drugiego. Nocą wreszcie legł starzec i zasnął mocno, ale nadedniem o brzasku zerwał się znowu i wyszedł.

Czuł, że dzień musiało;—podśluchiwał, czy kto nie jedzie?—Nie było nikogo. Bydło wypędzali dopiero na rosę i stadnina z noclegu powracała.

Stary wdrapał się na sam wału wierchołek, Hyż nosem ciągnął powietrze i pomrukiwał jak był zwykł, gdy zdala co poczuł.

— Jadą!—rzekł stary.

Widać nie było, słyhać nie było, czuć było!
Zszedł Odolaj podparłszy się na ramieniu Oka i potoczył po izbicy, siadł w rogu jej, pies się na swoim barłogu położył—czekali.

Wtem tentnię już i brzęczeć zaczęło na drodze, wrota skrzypnęły, koń zarżał, chód słyhać było żywy, i zgrzany, zmęczony, ocierając pot z czoła wszedł Dobrogost.

Stary z kąta zapytał tylko.

— A który tam?

— Dobrogost Mszczujów.

— Hultaje jacyś—począł Odolaj—psy parszywe—co wy sobie myślicie? Czem ja dla was? Kto wy? Gdzie nasza krew? Macie wy ojców? Kogo wy słuchacie?

Dobrogost milczał, czując go rozsierzdzonym mocno.

— Z królem trzymacie!—dodał Odolaj.

— Inaczej nie możemy—ośmielił się Dobrogost.

Król pogiębiony i opuszczony.

— I będzie zgębiony na proch, na nic—dodał stary, zczeźnię! Wtem wyrazy mu w gardle zastygły, znowu tentent słyhać było i wrota skrzypnęły, wbiegł człowiek, stanął a dyszał.

— Otom ci jest, masz mnie.

Oglądał się do koła obłąkanym wzrokiem.

Stary szepnął:

— Wiem—Mścislaw.

On to był, w tej samej odzieży zbrukanej i odatej; czarny, żółty, osmolony, z oczyma palącemi się i usty spiekłemi a krwawemi. Stojąc tak dojrzał u drzwi ceber z wodą i zamiast czerpakiem się jej napić, oburącz schwycił ceber, do ust go sobie chylać! Pił strasznie, bo mu wewnątrz gorzało.

— Słuchaj, wściekły człeczko—odezwał się stary, gdy ceber postawił—oto masz przed sobą zwołanego tu Jastrzębia. Słuchaj, co mu powiem—wypieram się ich wszystkich do nogi, jeżeli przy królu zostaną. Kazałem i rozkazuję precz ze dworu iść.

Mścislaw zwrócił się do Dobrogosta.

— Cóż ty?—co?

— Ja mówię dziadowi, że my nie możemy iść—nie pójdziemy—odezwał się Dobrogost nieśmiało. Srom mówicie z królem trzymać, a srom też ze strachu go rzucić, gdy wszyscy idą precz. Starsi nasi postanowili: nie pójdzie żaden z nas teraz, a szyję będzie potrzeba, to damy.

Starzec aż się porwał z kąta.

— Ty padalcze—śmiesz!

— Ubijcie mnie, jeżeli wola—odpowiedział spokojnie Dobrogost,—nie mogę rzec inaczej. Wszyscy przy tem stoją, ja się od braci oddzielić nie mogę. Czy Śreniawy zostaną, czy Drużyny dotrzymają—nie wiem, a Jastrzębcy trwać przy nim będą. To nasza powinność.

Mścislaw mu plunął pod nogi.

— E!—plemie niewolnicze!—raby, sługi cheralawe!—parobki królewskie.

W tej chwili Dobrogost mu do gardła przy-skoczył i ścisnął je tak w silnych rękach, że Mścislaw posiniał cały. Chciał mu się wyrwać, nie mógł. Miotali się, nie mówiąc słowa. Dobrogost dusił go w śmierć.

Stary posłyszawszy ten ruch, domyślił się co się stało i ryknął głosem ogromnym:

— Puść mi go zaraz, bo cię zasiec każę.

— Tobie, dziadzie, wolno zrobić ze mną, co zechcesz—krzyknął Dobrogost—ale temu psu, wara!

Mścislaw puszczony ze strasznego uścisku, zatoczył się i upadł na ławę. Oczy jego zbladły stały nieruchome, wargi mu drżały.

Stary Odolaj stał, kijem bijąc w ziemię.

— Wiesz ty—zawołał do Dobrogosta się zwracając—ktom ja?

— Dziad nasz—rzekł Dobrogost, który ręce krwią nabiegłe ocierał.

— Siwa głowa rodu—począł Odolaj—ojciec ojców waszych, com wam wszystkim żywot dał, co ma

prawo każdemu z was żywot odebrać, bom go nie dał na hańbę, ale na pocziwość.

Dobrogost walką z Mścislawem był rozgorączkowany i zburzony.

— Tak—zawołał—jesteś ojcem ojców naszych, żywot weź, jeżeli chcesz, a do podłości nas nie zmuszaj. Podłość, mówicie, takiemu panu służyć, a no gorsza jakiegokolwiek rzucić, gdy ginie; tego i psy nie robią!

Mścislaw odszedłszy nieco, pluł krwią i kłął cicho.

— Czyńcie tak! — rzekł — czyńcie! A no do brze! Z nim razem i ze psami jego pójdziecie precz z ziem naszych. Ścierw waszych żaden cmentarz nie przyjmie, wilcy chyba się nad niemi zlitują! — Idźcie z nim! — Idźcie!..

Dobrogost zamiast mu odpowiadać, jakby nie słyszał co mówił, odezwał się do starego.

— Gdyśmy na dwór do króla przystawali, kto nas tam słał? A no, wy sami, ojcowie i dziady. Pędziliście nas do niego i mówili, wierni mu bądźcie, miłujcie go, szanujcie, służcie mu. Takeśmy uczynili wedle rozkazania. Teraz żądacie znów byśmy tonącego rzucili i wypowiedzieli służbę, kiedy wszyscy nań biją?

Odolaj mruczał.

— Jaja mędrze od kur. Jak to się tam nauczyło dworować; — a czyjeż rozkazanie mocniejsze ma być, czy krwi waszej, czy króla?

— Krewże nas własna królowi oddała — rzekł, Dobrogost.

— No, to gińcie i przepadajcie z nim razem! — zakrzyczał Mścislaw.

— Będziemy stać przy nim i nie zginiemy — zawołał Dobrogost, ośmielając się coraz bardziej. Garść nas jest, ale król w potrzebie na Ruś zawoła i na Węgry; przyjdą doń. Wszystkich wrogów swoich zgniecie i wytepi. Nie zwyciężyliście jeszcze

nas, wy, z klechami waszemi! — dodał zwracając się do Mścislawa.

— Hej! — hej niecnoto jakiś! — nim mu Węgry przyjdą i Ruś nadciągnie — nogi was tu nie stanie! — krzyknął Mścislaw.

— Ano! — odparł obojętnie Dobrogost.

— Wszystkie ziemie i powiaty, i co żywo u nas, przeciw wam — wołał pan z Bużenina.

— Ino z królem lud i gmin! — odparł Dobrogost — a na was ziemian garść i rycerstwa dosyć będzie i tych z pałkami.

Już miało znowu przyjść do łajania, do razów może, gdy Odolaj gwałtownie w tok kijem stukać począł.

— Milez ty łobuzie jakiś! — krzyknął.

Dobrogost głowę spuścił, usta zaciąwszy, a Odolaj zwrócił się do Mścislawa.

— Otóż masz, widzisz ty, wścieklico — rzekł — że ja rodowi swojemu nie folguję. — Widzisz com im rozkazywał, słyszysz co mi te gołowasy gadają. — Jam niewinien.

— Tyś winien — gwałtownie wybuchnął Mścislaw — ty i twoi! Pokoście ich dali pookuwać w te dyby? Rzuciliście ich sami w tę kupę gnoju i dziwujecie się teraz, że gniją?

Odolaj w pierwszej chwili gniewu, kij podniósł do góry, zamierzył nim, jakby go chciał uderzyć — i opuścił bezsilnie. Gość to był!

Mścislaw dyszał, wyciągnięty na ławie. Znużeni zamilkli wszyscy czas jakiś. Pan z Bużenina oglądał się i przysłuchiwał niespokojnie. Czekał on przybycia tych, którym oznajmił, że ma być w Jakuszowicach i wezwał, aby w pomoc przyszli. Szło wszystkim o to, aby króla Boleszczyce, ile ich było, opuścili.

Sobie i Odolajowi nie ufając, Leliwę, Kruka i Brzechwę napotkawszy, stawić się im kazał do Jakuszowic tego rana.

Czekał azali nie przybędą.

Dobrogostowi stać jak przed kościołem miło nie było—i ozwał się szorstko:

— Jeżeli miłość wasza, jużście wszystko rzekli co chcieli—azali nie odpuszcicie mnie?

— Idź na skrócenie karku!—krzyknął Odolaj—idź. Między mną a wami niema już nic, ani na pogrzeb mój nawet nie śmieście przyjść. Czeladź was kijami od trupa odpędzi...

Dobrogost ruszył się już.

— Śpieszno wam — szydersko i gniewnie odezwał się Mściśław—wstyd, srom... Strzymajcie się, jeżeli odwagę macie, przybędą tu inni jeszcze, co wam od wszystkiego ziemianstwa rzekną, co was czeka... Warto słucha...

Stary się zachnął zagniewany.

— A kogóż wy tu do mnie śmieliście nawoływać? Wy! do mnie?—a to jakim prawem?

— To sprawa ziemiańska — odezwał się Mściśław—a wyż kto? Każdy dla niej powinien być gospodą, czy nie?

Nic na to nie odpowiadając, Odolaj poszedł z kijem do kąta i położył się — Dobrogost szedł do drzwi.

— Czekaj! — zakrzyczał Mściśław. — Czy się boisz? Stój, gdy mówię, starszyzna przyjedzie. — Boisz się!

— Ja! — oburzył się Dobrogost.

— Nie boicie się do przystańcie mało, bo oto jadą—dodał Mściśław—zaraz ich będziecie miał.

W istocie Leliwa i Kruk przybywali. Gdy w sieni już ich usłyszał Odolaj, ruszał się, zły był, mrucał sam do siebie.

Gdy wchodząc zaczęli pozdrawiać gospodarza, zaledwie im półgłosem odpowiedział. Mściśław powstawszy z ławy, wskazał na stojącego w kącie Dobrogosta.

— Oto macie jednego z tych Boleszczyców. — Dziad mu próżno mówił, próżno kłął, jeszcze wy powiedzcie co macie.

Leliwa oczyma szukał Dobrogosta w ciemnym kącie izbicy.

Widząc to obwiniony śmiało naprzeciw okienka wystąpił.

— Cóż wy mi rzec macie? — spytał zuchwale—co?

Zmierzył go oczyma od stóp do głów stary.

— Butne pany!—zawołał.—Co my wam mamy rzec to krótkie słowo, tak jak z wami sprawa będzie krótka. Król nas chłopom chciał sprzedać, kościół nie szanował, i my go i kościół znać nie chce. Kto z nim trzyma, przeciw nam idzie, wróg nasz! Rozumiecie? Chcecie z nim zostać!—toście nie bracia nasi, ale wywołańcy; którego pochwycimy głowę da. Majętności i ziemie wasze zabrane będą, bo ziemi nie wart mieć, kto jej nie broni i swej braci. Oto co was czeka.

Zaprze się ich ród, zaprze ziemia, będziecie zaprażkami, głowy wasze zdejmie kto zechce.

— Byle mógł—odparł pogardliwie i szydersko Dobrogost.—Co ja wam na to mam powiedzieć? Nic. Kto głową nałoży to Bogu wiadomo, a co my czynimy, wiemy dla czego. Sumienia naszego nikt nie ma prawa sądzić, ino my sami. A co więcej?—spytał w końcu.

Kruk popędliwie wtrącił.

— Jeszcze wam mało?

— Upamiętajcie się, łagodniej począł Leliwa—choć sprzeniewierzona, wyście taki nasza krew. Żal was. Poszaleliście z szalonym królem waszym... On już nie król.

Dobrogost ramionami ruszył, i powtórzył znów obojętnie.

— A co więcej?

Kruk się zżymnął, rękami rzucił i odwrócił od Dobrogosta, jakby nań już patrzeć nie chciał.

Mściśław oburącz przebierając we włosach, darł je z głowy.

Gdy zamilkli, Dobrogost który nabierał odwagi i gniewu razem, odezwał się.

— Ja powiem wam jeszcze jedno! Ani pana, ani nas tak łatwo, jak się wam zdaje, mieć nie będziecie. Poleje się jeszcze krwi dużo, poleje! Macie wy siłę, ma król też swoich. — Wy sprowadzicie Czechów, on Rusinów i Węgrów. Będzie to, co było za Kaźmirza, gdyście wy wygnali pana precz z kraju, a potemście na kolanach prosić go musieli, aby do was powrócił. Za to was pan nasz miłować ma, żeście jego rodzica wygnali? A kto to uczynił jak nie wy? Dziś jego precz chcecie wyżenąć, aby wam z biskupami panowanie zostało! Próbujcie! — Król pewno nie pójdzie jak Kaźmirz po dobrej woli. Kaźmirz król inny był, wygnąć go łacniej było. Na Bolesława choćby i kłatwa padła — twardy pan nasz, nie zgniecie go. Ludu przy nim zostanie dosyć, aby na obronę przeciw wam stało... Wy naszym głowom grozicie, nie wiem co z waszemi będzie!

Leliwa słuchał nie przerywając.

— A no! — a no! — rzekł — lepiej nam z księżmi i klechami, niż pod jego różgą na równi z chłopcy i niewolnikami.

Wszystkim się już od tej mowy swarliwej twarze paliły. Mówić nie było co więcej, chyba łajać i bezcześcić a odgrażać.

Dobrogost spojrział po nich, zawrócił się i zwolna szedł ku drzwiom precz. Zwrócił się ku Odolajowi.

— Głową ojcu panu! — odezwał się.

— Ja was znać nie chcę! — krzyknął stary. Zwij sobie ojcem psa rudego. Słyszysz — idź mi won. Wśród śmiechu wyszedł Dobrogost. Kipiało w nim. Za progiem stanął, tchnął tylko; tu nań stara Tyta czekała.

— Cóż wy tu robicie? — zapytała — jam was po głosie poznała. Stary na was zły! — łajał.

— Cóż! — przyszedłem tu na jego rozkazanie własne, aby mnie przy obcych, na współ z niemi

zesromocił. Bywajcie zdrowi, ciotko miła, już tu bodaj noga nasza nie postanie. — Przyszło nam na to, że dziad wygnał... Zdrowi bywajcie!

To mówiąc, Dobrogost za próg się wysunął, spojrzął po starem swem gnieździe spokojnem, które porzucał na zawsze, wypędzony; ciężko mu się stało, lecz zmienić co czynił już nie mógł.

— Stanie się, co ma być! — rzekł w duchu.

A stary Odolaj znowu leżąc w kącie mruczał.

— Krew nasza! Psu braty! szyję dadzą, a woli ich nie złamać. Biciem nic nie zrobisz z niemi, ani groźbą. Krew nasza!

Dobrogost do konia się swojego brał, gdy za nim i Mścislaw się wysunął.

On także nie miał tu już co czynić; — musiał jechać dalej, wioząc z sobą nawoływanie do zemsty.

Dobrogost dał mu się wyprzedzić i zwolna pociągnął nazad ku Krakowu.

Porzucił był zamek wśród uczty, a gdy wrócił nań zastał go jeszcze gwarliwszym, pełnym ludzi, hałasu i śpiewu.

Nadjechali do króla Rusini, których przyjmował ochoczo, rad, że mu się goście obcy trafili. Drugi już dzień na zamku trwały szalone igrzyska.

Końmi się uganiano, ciskano włócznie, z łuków strzelano, król dawał nagrody, a strojnej Kryście i żeńskiemu dworowi królowej kazał siedzieć, przypatrywać się, pieśni śpiewać, i dodawać wesela.

Gdy Dobrogost wjechał w tę wrzawę i tłum, potem co słyszał i co wycierpiał, jakoś mu to się nie miłem wydało, że król mało o sobie myśląc, nie ważąc odgrózek, lekko brał, co nań ciągnęło. Dobrogost czuł, że tu na uczty czasu nie było. Okolice, które przebył, ludzie, których spotkał, co się o uszy jego obilo, oznajmywało, że wszyscy się w obronie biskupa przeciw królowi gotowali. Lud, choćby go Bolesław miał za sobą, nie wiele mógł; z ziemian z nim nikt prawie nie trzymał, z rycerstwa znacz-

niejsza część i najdzielniejsza po kijowskiej sprawie go odstąpiła.

Tymczasem król uragać się zdał niebezpieczeństwu, im ono widocznijszem się stawało, tem mniej okazywał, że je widział i czuł.

Tego wieczora szczególnie huczno na zamku było, ucztowano w podwórcach, na wałach, tak, aby wszyscy widzieli, iż król się nie trwożył. Beczki wytaczano jedne po drugich, z miasta i przedmieść czerń, choć wiedziała, że biskup zabraniał zbliżania się do króla, oprzeć się nie mogła ponęcie jadła i napoju.

Lud też zawsze był przywiązany do niego, czując, że miał w nim opiekuna, a kościelnych klątw nie wiele rozumiał i w wierze mocen jeszcze nie był. Gdy brakło ziemian i rycerstwa, on zastępował ich u stołów. Król dla oka i dla swawoli wielu z nich poprzyodziewać kazał bogato; co im równie jak miód głowy zawracało.

Dworni królewskiej ta czerń, co się na równi z nią stawiała, nie bardzo była do smaku, lecz pokażąc tego nikt nie śmiał. Gdy we łbach zaszumiało, cała szorstkość i dzikość ludzi tych wychodzić na jaw poczęła, i uczta zmieniła się w istny szal, wśród którego zaledwie król już był poszanowany.

Ci co wczoraj głodni włóczyli się w łachmanach, a na których dziś powdziwiano jedwabie, i do syta im dano najprzedniejszego napitku i jadła—pamięć straciwszy, sami się królami sądzą... Głowy się zawracały.

Boleszczyce stojąc przy królu i za nim, ostro na to patrzali, ale król sam śmiał się i podlegał jeszcze zbyt kuśnierzom, rzucając im, jak psom kości do gryzienia, nazwiska znienawidzonego sobie rycerstwa.

Jednego z charłaków kazał przybrać niby w skupie szaty i dać mu na głowę czapkę o dwu rogach, a w rękę kij zakrzywiony — dopieroż z niego strojono żarty, a on się popisował z bezwstydu...

Widząc, że wolno obelgi miotać i bluźać, ludzie też gąb nie żalowali. Za każdym słowem dobitniejszym, ciżba śmiechem odpowiadała jak chórem.

Na tę zabawę, wśród której nikogo nie oszczędzano, natrafił Dobrogost, i właśnie się w tłum wمیęszał, gdy mieszczanin Sroka, którego odziano w opończę wyszywaną, szлык i łańcuch, na rycerstwo całe wydziwiał, żony ich i domy bezczeszcząc.

— Hej! panku na Bużeninie! — wołał pijany — a gdzie żonka twoja? — Wysoko poleciało białe ptasze — wysoko! — Siadło na złotej jabłoni, a tyś goniąc za niem wlaż, w blokco po kolana!

Krysta słuchając, twarz zakrywała zarumieniona, łzy się jej w oczach kręciły. Wstyd jej było, po raz pierwszy może, być tak wziętej na języki przy ludziach i w oczy — ale król patrzył na nią, śmiejąc się i jeszcze mówiącego podżegał.

— Hej panku Leliwo — ciągnął Sroka dalej, któremu król dolewać kazał. — Panku Leliwo! z tobą gorzej być może! — Król ci nie żonkę weźmie, bo stara i nie harna, ale siwą główkę, zetnie jak makówkę i każe zatknąć na płocie, aby sobie przeschła...

Śmiech się znowu rozległ jak grzmot dokoła.

Sroka siedząc u stołu na miejscu, które dawniej pany zajmowały, pysznił się, nadymał, rozpierał, szłyka poprawiał, pił ciągle i na króla tylko patrzył, czy mu to miłym było!

— Ej! ej! — mówił popijając — mnogo im nasze parobczaki żonek nazabierali — a no to tylko za nasze dziewczki po dworach płacą. Resztę im jeszcze białych głów odjąć trzeba, aby się plemię nie rozradzało! Dosyć było ich panowania, za naszego króla przyjdzie kolej na tych, co byli spodem, żeby na wierzech wyleźli. Kto wieszał, tego powiesz, kto ścinał, tego zetną, reszta co zostanie, do pługów ich zaprzężemy i batem po uszach — wio hot! Nie chcieli pana słuchać dobrego, będą zły pletni słuchać musieli — wio hot! po uszach!

Ludzie się aż kładli ze śmiechu, król twarz

też miał wesołą, tylko drużyna pańska, ziemian dzieci, burzyła się i krew w niej wrzała, słuchając.

Sroce się gęba nie zamykała.

— Królu, panie miłościwy!—wołał kubek podnosząc—daj ci Boże panowanie na długie lata. Tyś się nad nami litował, my tobie służyć będziemy krwią i potem... Pójdziemy za tobą w ogień i wodę. Niechaj się panowie rycerstwo policzą, zobaczemy kogo więcej, czy mrówek w polu, czy ptastwa co nimi żyło.—Setne lata panu naszemu! Setne lata!

I pili tak a wywoływali, król z Rusinami siedział i słuchał. Wśród tej wrzawy, bracia spostrzegłszy, że Dobrogost powrócił, na stronę go odciągnęli, aby się od niego dowiedzieć z czem przybywał.

Wprawdzie z lica mu się tego było można domysleć, ale posłyszeć chcieli, jak tam było.

Odeszli z nim na podsienie, kędy nikogo nie było i gdzie tylko pijane dochodziły śmiechy, i Borzywój badać począł, co się w Jakuszowicach działo.

— Co ma być!—rzekł Dobrogost—tam toż samo co wszędzie—albo to nie wiecie! Żle dla nas słyhać i dla pana. Stary dziad o mało mnie od siebie nie wyszczuł psami, a z tym... Mściśławem musiałem się chwycić za bary, i tylko żem go nie udusił.

Leliwa i Kruk gardłem nam grożą, mówią, że kogo z królem pochwyca, żywcem nie puszczą. Ot co słyhać. Rycerstwo i ziemianie zjeżdżają się, gromadzą na głos duchownych—jeden wszędzie krzyk. „król wyklety, znać go nie chcemy.” Spotkałem po drodze poczty zbrojne, dobrze, żem z życiem uszedł. Boleszczyce razem z Bolesławem wykleci. Nie będąc silny, coraz się musiałem w las kryć przed zbrojnemi kupami. Mściśław szalony objeżdża dwory, nawiołując przeciw królowi, za swój i całego ziemianstwa srom i hańbę, za biskupa i kościół!

A stary dziad, jak niegdy, tak teraz, kijem sztu-

ka i precz nam każe iść od króla — precz a precz, albo żebyśmy się jego rodem zwać nie śmieli.

To mówiąc westchnął Dobrogost.

— Od króla iść po czasie—odezwał się Borzywój—teraz, kiedy na niego wszyscy szczują!

— Mówilem to staremu, rzekł Dobrogost, za to mnie ze psy królewskimi porównał i precz wygnął.

Stojący wkoło Boleszczyce zadumali się smutno.

Działo się to na uboczu, ale niedaleko od zastawionych stołów. Jastrzębcy kołem oblegali Dobrogosta, milcząc a myśląc nad tem, co im przynosił, choć nowego dla nich nic nie było... Wtem król z siedzenia swojego ruszył, obejrzał się i ku nim zbliżać zaczął.

Wiedział on o wyjeździe Dobrogosta, domyślił się pewnie nad czem naradzać się mogli, przystąpił do nich—w oczy im spozierając, jakby czytać chciał co myśleli.

— Czy i wy tu już kupą stoicie, jakbyście kupą odemnie iść chcieli?—zapytał szydersko.

Borzywój zwrócił się doń ze smutną a żałościwą twarzą.

— Miłościwy panie,—rzekł—niekrzywdźcie tych, co wam służą wiernie. Wyrzekliśmy się swoich dla ciebie, a z drogi się już nie zawrócimy.

Król, nie odpowiadając mu, na Dobrogosta nastąpił.

— Coś ty przywiózł?

— Z czemem jechał, z tem wróciłem, rzekł zapytany—niema tam o czem mówić, zjemy co nam zgotowano, nie dzieląc się, bo niesmaczna strawa.—Miłościwy pan tyle powinienes wiedzieć, że zdrajcami nie będziemy.

Król, zmierzwszy ich oczyma, zawołał:

— Za wierność waszą — weźmiecie co zechcecie, choćby pół królestwa mojego.

Wtem Borzywój mu się do kolan pokłonił i rzekł z wymówką:

BOLESZCZYCE

POWIEŚĆ

z czasów Bolesława Szczodrego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

Kraszewski

TOM II.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1902

— Miłościwy panie, a coby taka wierność była warta, za którą płacić potrzeba.

Król zmilczał, uderzył go tylko po ramieniu, a Borzywój ośmielony, począł stanąwszy przed nim.

— Dajcie słówko rzec, miłościwy królu—a nie gniewajcie się. Na zamku prawda wesoło, a no pod zamkiem groźnie. Ziemianie się kupią. Biskup nie śpi, rycerstwo się zbiera—na garść—na garść.

Król się do tłumu i czerni odwrócił i rzekł wskazując nań.

— Posłuchajcie no jak ta sroka skrzeczy!—Policzcie no tych druchów moich, co tam siedzą—albo to oni rąk nie mają jak ziemianie?—A mało ich jest?—A co jest ich to moje! To ziemianstwo nowe, i rycerstwo... Ja innego nie potrzebuję.

Słuchajno jak ta sroka skrzeczy?—to gęba tego tłumu. Co on myśli na trzeźwo, ten po pijanemu wygaduje... Nie bójcie się, rycerstwo i ziemianie nie zrobią mi nic. Gdy zechcę, a skinę, gniazda ich zrównam z ziemią.

Gdy król mówił, patrzali nań Boleszczyce jakoś niedowierzająco i prawie litościwie, aż Borzywój do nóg mu się skłonił, i rzekł.

— Królu, panie nasz. — Lud ten do krzyku i wrzawy dobry jest — a do roboty on licha wart! Czy my go nie znamy! — Aby się napił a najadł, a dobrze mu było, tak samo jutro ziemianom krzyczeń będzie, jak dziś tobie. Spłoszy się to łącno jak zające, choć pokrzykuje a odgraża się, gromada duża a pociecha z niej nie wielka. Dziesięciu zbrojnych a mężnych skoczy na nich i tysiąc tego robactwa rozpędzi i zmiążdży.

Król słuchał cierpliwie, odważył się przeto Borzywój wypowiedzieć co na sercu miał, i ciągnął dalej.

— Miłościwy panie, darujcie mi mowę moją. Nam kiedyś po posiłki ślać potrzeba, nie podołamy im. Małeż to wojsko jest, któremu biskup dowodzi, co po wszem świecie rozsiane, jednego wodza słu-

cha? Kędy kościół i parafja, wszędy u niego rycerz z pocztą stoi. W każdej wsi swojego mają — dwór z księdzem, gdy sobie ręce dadzą...

Król pogardliwie głową potrząsał.

— U nich dwoje rąk czy czworo, a gromada we wsi — moja!

Zamilkli wszyscy, tylko Dobrogost szepnął.

— Daj Boże, by tak było.

— Tak być musi — rzekł król.

Borzywój ruchem głowy zaprzeczał.

— Nie wszędzie tak będzie — szepnął — nie wszędzie.

— Tchórze i baby jesteście — gwałtowniej wybuchnął Bolesław oburzony. — Jednego klechy, a choćby i stu i kupki ziemian miałbym się lękać i za posilkami ślać!!

Zamilczeli wszyscy.

— Ja im igrać i odgrażać się nie dam długo — dodał król. — Prędko się wszystko skończy. Padnie popłoch na nich i rycerstwo z ziemiany na kolanach przyjdzie łaski i miłosierdzia prosić.

Król się odwrócił.

— Co moich jest tu — rzekł odchodząc — wszyscy żeby byli mi gotowi.

Znając króla nieustraszone mężstwo i żelazną wolę, Boleszczyce nie śmieli mu się ani przeciwieć ni odzywać więcej. Gdy odszedł, popatrzeli na się smutnie. Widzieli go oni nieraz w wojnach, które prowadził, w kilkadziesiąt mieczów rzucającego się na tysiące, ale tu gorszy bój się zwiastował niż w otwartem polu, a samo mężstwo nie starczyło.

— A no! będzie, co losy zrządzą — westchnął Dobrogost.

— Król ma szczęście — dodał Borzywój.

Inni szeptali między sobą, wtem król nagle od stołów zawrócił ku nim znowu. Szedł krokiem przedkim i zachmurzony, odezwał się do Borzywoja.

— Prawda to, że biskup mi broni kościoła?

— Tak mówią — odparł Boleszczyce.

— Klecha ten śmie przedemną zamykać kościoły, które moi dziadowie im pobudowali! Mnie ma być wnijsć nie wolno!

Wstrząsnął się cały.

— Trzeba choć probować, czy do kościoła nie wpuści—począł szydersko. — Na zamek już nie chodzi, boi się!

— Na zamku od tamtego dnia kościół zaparty — rzekł Zbilut.

— A na Skałce mszę prawi? — zapytał Bolesław.

— Tak jest, codzień na zaraniu dzwonią na nią—odpowiedział Borzywój.

— Jutro ze mną, wszyscy na Skałkę! — oko w oko spotkamy się z obrzydłym klechą.

Niektórym pobladły twarze.

— Miłościwy panie — ośmielił się wtrącić Dobrogost — Kościół...

— Milcz — zawołał król. — Gdzieindziej go nie chwyć, bo uchodzi lis przedemną. — Jutro rano wszyscy na Skałkę...

Nikt się już odzywać nie śmiał. Król odszedł od stołów.

Gdy się to działo na podniesieniu, u węgła stojący jakiś człek, sparty o ścianę, który wszystko mógł słyszeć, wysunął się natychmiast i zniknął w mroku.

Za stołem Sroka jeszcze zabawiał króla i gości, gdy człek ów, wymknął się z zamku i korzystając z ciemności i zamieszania, zbiegł drogą ku miastu i Skałce.

W biskupiem mieszkaniu świeciło jeszcze; gwałtownie zapukał do drzwi. — Nierychło otworzył mu czuwający kleryk.

— Z biskupem mówić potrzebuje, rzekł młody człek, który opończą szarą starannie ubranie swoje okrywał, i wielce zdawał się niespokojnym.

Kleryk rzuciwszy nań okiem, pomimo opończy,

poznał dworski strój Boleszczyców, odstąpił parę kroków, i rzekł twardo.

— Królewski jesteś.

— Choćbym i królewskim był, czy przeto z biskupem mówić nie mogę?

— Żaden z was na próg tego domu nogą stać nie ma prawa — precz — ani się waż!

I drzwi zaraz zatrzasnął.

Lecz przybyły upartym był, i tem gwałtowniej się dobijać zaczął. Rachował na to może, iż biskup posłyszysz stukanie. — Powtórnie ukazał się ten sam kleryk ze starym duchownym, który rozwarłszy drzwi, groźnie przybysza gromić zaczął.

— A nie pójdziesz ty mi ztąd zaraz, — a nie pójdziesz! Precz—precz!

— Ja z biskupem mówić muszę — odparł stanowczo młody chłopak.

Był to z Boleszczyców najmłodszy, Andrek.

Spierali się tak głośno u drzwi, bo uparty chłopak nie tylko ustąpić nie chciał, ale pracę drzwi, zamykać ich nie dawał, gdy wreszcie wrzawą tą ściągnięty sam biskup się ukazał.

Kleryk i ksiądz zwróciwszy się doń, tłómaczyć mu poczęli, co za człowiek był, i dla czego mu wnijsćie tamowano, gdy Andrek gwałtem prawie się wparłszy do środka, sam stanął przed biskupem.

Ojciec miłościwy — rzekł prędko — jeżeli się tu przyjść ważył, to nie w złej myśli — pozwólcie mi powiedzieć słowo.

Biskup milcząc, wskazał mu na drzwi i sam go poprzędzając, wszedł do izby.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Andrek, który pobożny był, pokłękł przed nim.

— Ojciec mój! — począł — Uczyniliście już z królem panem naszym, coście pożąдали, litość miejcie nad nim i nad sobą. Jutro rano, każcie zamknąć kościół wasz na Skałce i mszy w nim nie odprawiajcie! Zamknijcie dom wasz i do dnia ustąpcie z nie-

go. Niech królewski gniew, który jest jak ogień straszny — przeminie...

Biskup słuchał spokojnie, ręce na piersiach złożwszy.

— Czegóż się jutro mam obawiać? — spytał cicho.

— Ojczy mój, ja, ja nie wiem — zawołał Andrek. — Od króla i zapalczywości jego, wszystkiego obawiać się można. A! paniel — miejcie litość nad nim i nad sobą!

To mówiąc do nóg mu się rzucił i ściskać je zaczął. Biskup go zlekka usunął.

— Nad sobą! — powtórzył uśmiechając się — a cóż wasz król mi uczynić może?

— Ja nie wiem! nie wiem, ale drzę i lękam się — mówił Andrek — słyszałem tylko, jak nakazywał, aby jutro z nim wszyscy w pogotowiu byli iść na Skalkę na mszę do kościoła. A cóż, jeśli mu przystępu wzbronicie?

— Wzbronię! jakom żyw! — zawołał biskup gwałtownie. — Noga jego chyba po trupie moim wejdzie do świątyni.

Andrek ręce załamał, Biskup spojrzał nań razem z politowaniem jakimś i dumą.

— Ja! — zawołał, jakby do siebie mówił — miałbym, Boga mając z sobą, ustąpić przed nim i cofnąć się, aby tryumfował, że Boga zwyciężył żelazem! Miałbym się ulęknąć pogroźek jego i waszych! Chłopcze małego serca i ducha, dobrym chcąc być, grzesznym jesteś. Ja nie człowieczą siłą, ale prawicą Wszechmocnego z nim wojuję. Cóż on mnie uczynić może? Choćby krew moją przelać miał, tryśnie ona na niego i na plemię, na ród jego. Mnie da życie wiekuiste, a jemu — śmierć i potępienie.

Andrek drżał, widząc biskupa w uniesieniu, niemal gniewnym i strasznym. Nie śmiał już mówić, wzrokiem błagał go tylko.

— Ojczy — zawołał wreszcie głosem cichym — ojczy! Król się może opamiętać, gdy z gniewu

ochłonie! Pierwszy w nim ogień najstraszniejszy. Dziś w srogiej jego zapamiętałości, po ojcowsku by było ustąpić mu.

— Jam mu już nie ojcem, ani on mi dziećciem — zawołał biskup, unosząc się coraz bardziej i palcem na zamek wskazując. — Nie jest już ani królem waszym, ani bratem naszym, bo przestał być synem Ojca naszego Jezusa Chrystusa i matki naszej, Kościoła świętego. Zwierz to dziki i wyuzdany, bez opamiętania i rozumu.

Wyrok ten jak piorun padł na Andrkę, który stał blady, ręce załamał i bezprzytomny palce sobie wykręcał, nie wiedząc co począć. Chciał iść już, wtém biskup, który się parę razy przeszedł po izbie, stanął naprzeciw niego, popatrzał nań z politowaniem i począł mówić powoli.

— Wy wszyscy, słudzy jego, co przy nim stoicie, co z nim jeszcze trzymacie, patrzcie, abyście z nim razem w bezdno piekielne i paszczę szatana nie poszli. Dlaczego nie odstąpiliście go? Wy to, wy nie macie miłosierdzia nad nim i gubicie go. Gdyby co żyje odeszło od niego, gdyby jak od trędowatego pierzchnęli wszyscy, tedyby się może opamiętał i pokutował. Dlaczego stoicie przy nim?

Andrek odpowiedzieć nie śmiał. To z czem przyszedł dokonane zostało, nie przyniósłszy skutku, nie mógł już nic więcej nad to, musiał powracać, z przerażeniem myśląc o tem, co przyniesie straszny ranek jutrzejszy.

— Prośba moja o zmiłowanie daremna — rzekł chłopak smutnie, — niech się więc stanie, co Bóg przeznaczył.

Biskup go ręką tylko odprawił.

— Stanie się, co powinno — rzekł — a zaprawdę, nie godzi się mnie ani cofnąć, ani ustępować, ani godziny odkładać, ani okazać jakoby się go lękał.

Wychodził Andrek, gdy w progu ukazał się stary benedyktyn O. Otton, kapelan królowej, który wybierał się do Mogiły.

Wielisława dowiedziała się od sług sobie wierznych, że król nazajutrz na Skalkę się wybierał. Ogarnęła ją też trwoga, posłała szukać O. Ottona, aby go do biskupa od siebie z błaganiem wyprowadzić. Benedyktyn nie mógł się już ukazać na zamku, ani pójść ją uspokoić, lecz od ochmistrza królowej dowiedziawszy się czego od niego żądała, przywłókł się do biskupa, z niewielką nadzieją, aby prośba jego wyjednać co mogła. Znał on nieugięty charakter i surowość ks. Stanisława ze Szczepanowa.

Wchodząc z poselstwem swem, O. Otton posyłał odprawę, jaką biskup dawał Andrkowi Boleszcycowi, domyślił się łatwo z czem chłopak przyszedł, i zwątpił, aby jemu szczęśliwiej powieść się mogło. Nie pozostało mu jednak nic nad spełnienie posłannictwa, choćby ono daremnem być miało.

Padną mu do nóg i będą go prosił! — rzekł w duchu — Bóg go natchnąć może miłosierdziem!

O. Ottona znał biskup nie wiele, widywał rzadko, u siebie go nie miewał nigdy, zdziwił się mocno zobaczywszy go o tej porze niezwyklej i odezwał się przystępując doń, po łacinie.

— A wyż z czem do mnie przychodzicie o tej porze, Ojcie Ottonie?

Biskup Stanisław Szczepanowski, jak wiadomo, w czasie pobytu swojego w Paryżu, oprócz szkoły biskupiej, uczęszczał też do benedyktyńskich. Miał nawet zamiar przywdziać suknię zakonną i zachował zawsze miłość wielką dla synów Ś. Benedykty, których niemal za braci swych uważał. Dla O. Ottona, którego zdala tylko i z odgłosu znał, szacunek miał, wiedząc jak cnotliwy staruszek wśród zepsutego dworu, samym przykładem swym wiele dobrego czynił i hamulcem był nieraz dla zbytników.

Zamiast odpowiedzi na zapytanie O. Otton nie mówiąc słowa, przyklęknął przed nim, skłonił głowę siwą, i ująwszy rękę, pocałował.

— O przebaczenie naprzód proszę, przewielebności waszej — rzekł — iż śmiem z tą samą pewnie

prośbą, z którą mnie człowiek ten poprzedził — stać się przed pasterzem! Ojciec wielebny — o króla i rodu jego losy przyszłe przywlokłem się was błagać. Dajcie mu czas — niechaj w nim płomień wygorzeje! — król z dziecka żołnierzem jest, prawa on nie rozumie, władzy nad sobą nigdy nie czuł i nie znał. — Czas mu dajcie! Nie narażajcie własnego żywota drogiego na wściekłość jego...

Biskup wysłuchał cierpliwie, oburącz potem podniósł z ziemi staruszka, i patrząc nań dobrotnie, łagodnie, mówić począł.

— Wyście to rzekli, ojciec Ottonie? Wy? Kapłan? mąż świątobliwy i uczony? Nie znacież, czy nie chcecie pamiętać historii kościoła naszego? Azali nie pomnicie, co czynił Ambroży, i nie chcecie mi dopuścić, bym stokroć gorszego, niż Teodozjusz człowieka, który nie Tessaloniczan rzeź, lecz tyle krwi niewinnej, tyle zgorszenia, tyle plugawej rozpusty plam ma na sobie, wygnał tak precz z kościoła, jako mnie Ambrożego przykład naucza? Chcecie więc, bym ja, biskup ustąpił przed katem, abym ja kapłan, uląkł się żołnierza? Chrystus pan twogi nie znał, i śludzy jego znać jej nie powinni.

— Ojciec — odparł Otton z wolna — Teodozjusz był okrutnikiem, ale był chrześcijańskim monarchą, któremu światło ewangelji przyświecało, ten na pół poganinem jest! Nie bronię go! — nie ujmuje się zań, znam grzechy jego!.. Nie o niego mi idzie, ale o was, pasterzu i o drogi żywot twój. Wściekły ten człek nie poszanuje nic, żadna go świętość miejsca ni osoby nie powstrzyma. Patrzałem nań, znam go — ojciec mój, drzę.

Biskup słuchając, białe ręce złożył jak do modlitwy i łagodnie z powagą, odpowiedział O. Ottonowi.

— O moje życie wam chodzi, Ojciec! dobry pasterz chętnie żywot daje za owieczki swojej! Cóż życie moje? co życie człowieka? — można li je lepiej dać jak za prawdę świętą i dla nawrócenia obłąka-

nych? Nie wyzywam go ani wyzwę, ale nie cofnę się wyzywany. Kościół na tej ziemi chwieje się, podwalin trwałych niema jeszcze; nie powolnością lecz potęgą zakładać potrzeba ciosowe jego fundamenta. — A jestli do nich krew moja, jak wapno potrzebna, aby kamienie węgielne spoila na wieki?

To mówiąc biskup zadumał się głęboko i dodał z wyrazem pokory.

— Nie sądź, ojciec mój, by mimo zuchwalstwa swojego, aż do gwałtu nademną posunąć się mieli — lecz Bóg niech rozporządza. Stań się wola jego. O. Ottonie bądź dziś spowiednikiem moim i pozwól bym przed tobą wyznał grzechy moje. Zasnę potem spokojny, czekając, co mi dzień przyniesie jutrzejszy. Żołnierzem Chrystusowym jestem, jeżeli mi za pana mojego życie dać przyjdzie — umrę szczęśliwy.

I biskup ukląkł przed świątobliwym staruszką do spowiedzi.

Na zamku ucztowano do dnia białego, dobrze się już na brzask brało, gdy Sroka tłum ludu napilego prowadząc za sobą, spuścił się z nim, zawodząc huczną pieśń, drogą do zamku około Skałki. Tu owe kupy stanęły umyślnie nieco zdala i na urągowisko biskupowi, bo im tak przykazano, poczęły szaloną jakąś pieśń swawolną porykiwać, za każdą zwrotką wykrzykując dzikiemi głosy.

Król ucztował także noc całą, spędził ją bezsenną, czekając poranka. Odziany i zbrojny, rozgłaszany oczekiwał dzwonka, który się miał odezwać, wołając na mszę do Ś. Michała.

Dzień wchodził chmurny, z niebem mglistem, z światłem ołowianem, powietrzem chłodnem, słońce mu przyświecać nie chciało...

W progach dworca stała kupka Boleszczyców, na której twarzach widać było jakby na śmierć iść mieli i stracenie. Bledzi byli, drżący, nie mówili żaden słowa. Jedni stali jak kamienni, nie poruszając się długo, jakby zapomnieli że żyli; drudzy

targali się z niepokojem, z oczyma w ziemię wlepionymi.

Na pierwszy głos dzwonka kościelnego na Skałce, Andrek który stał pod ścianą, upadł na ławę i zakrył sobie oczy. Inni wyprężeni słuchali, ku sieniom spozierając, z kąd król wynieść miał.

Nakazanem było dać znać, gdy się da słyszeć dzwonek — nikt jednak ani myślał spełnić rozkazu... Woleli karę znieść niż mu zwiastować ten głos, co im brzmiał jak pogrzebny dźwięk...

— Usłyszysz sam król — powiedział stary Borzywój — znać tak losy chciały, nie dojdzie go on? niech się dzieje co chce!

III.

Po wczorajszej uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców królewskich dziwnie wyglądało. Noc długo kryła biesiadne śmieć; gdy rozwidniało, odkryło się ono w całej szkaradzie swojej.

Czeladź spała, wypróżniwszy resztę beczek; nie było komu pozbierać łomów i brudów, jakie noc zostawiła po sobie.

Naprzeciwko dworca stały jeszcze stoły poobnażane z nakrycia, powywracane i potrzaskane ławy; na ziemi leżał gdzieniegdzie kubek zgnieciony, stłuczony dzban, kości ostatki psy chodząc i warcząc ogryzały. Na boku wały się beczki z dnami wybitymi, kadzie i cebry pogniecione, których nie sprzątnięto. Zielone gałęzie, co wczoraj do umajenia uczty służyły, dziś śmieciem się stały, poobalane, w ziemię wdeptane, zmieszane z błotem.

W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i na ławach leżała rozpierzchła,

uśpiona jeszcze, pijana gawiedź ze psy razem. Dalej na wałach widać było precz wyrzucone, na wpół-odarte dwa trupy tych, co się na śmierć zapili. Cze-kały one, aż je gdzieś wywloką.

Gdzieniedzie stały brudne jakieś kałuże, je-dne jakby krwawe, drugie od samej krwi ohydniej-sze. Bili się i tłukli skłóceni, na śmiech drugim, a wielu wyszło z ranami i potłuczonymi głowami, nie czując kalectwa nawet.

Szczątki biesiady opowiadały jej dzieje: obok łachmanów leżały kosztownych sukien oderwane ka-wały, guzy złociste i konopne sznury, rozerwane bur-sztyny, nogami pokruszone i pobite garnuszki pro-ste... mężkie i niewieście czapki i chusty wały się społem.

Ziemia, wczoraj porosła murawą, zmieszana była, nogami zgnieciona, zbita, a ślady nóg, rąk, głów odcisnięte na niej pozostały wyraźne... Skoń-czyła się bowiem uczta, po odejściu króla, po wy-próżnieniu ostatka w beczkach, jak szatańskie wese-le—zwierzęcym, ohydny szaleńcem...

Na to obrzydłe pobojuwisko wczorajszego kró-lewskiego przyjęcia spojrzeć nie było można bez wstrętu. Stało ono długo nie tknięte, aż nierychło zjawiać się poczęli parobcy, którzy je oczyszczają mie-li. Wychodzili, przechadzając się, zaspani, szukali mioteł i łopat, wlekli się i stawali nad śmietniskiem zadumani, jakby czytając w niem, co ono wczoraj widziało... Podejmowali szczątki i rzucali je, śmieli się i pluli.

Zmęczona wczorajszą wrzawą, od której niery-chło uciec mogła, Krysta spała długo; — obudził ją dzwonek na Skałce u ś. Michała, a potem zaraz ten-tent koni.

Zadrzała, zerwała się, pobiegła w koszuli wyj-rzeć przez okno, odsunęła okiennicę, i zobaczyła jak król jechał otoczony Boleszczycami... Dokąd? nie wie-działa, ale serce jej biło strachem.

Król się nawet nie obejrzał ku oknu, oglądał

się tylko Borzywój pozdrawiając ją, i Zbilut jadący za nim.—Krysta się ukryła zawstydzona, bo nie mia-ła na sobie nic oprócz bielizny; włosy się jej we śnie porozplatały, czuła się zmęczoną, wiedziała, że była bladą.

Ona, co tak dobrze dawniej umiała śmiać się, o wszystkim zapomnieć, wesołością swą dziecinną drugich rozśmieszać, czasem aż do szału się rozpa-sać i rozgzić—wczoraj nie mogła być nawet wesołą.

Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzyły ja-koś tak dziko, szal tej uczty pół chłopskiej był tak straszno... Mimowoli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie ciche podwórko, uścisk matki pieszczony i usypiający słodko, męzowski dwór taki spokojny, pieśń u kądzieli płynącą, jak cichy strumień po darni zielonej, ciepłe ognisko domowe, co się śmiało gospodyni. Zapach wiosenny przyno-sił jej z sobą wspomnienie młodości.

Smutną była ciągle, a im uczta weselszą się stawiała, tem ją większy strach ogarniał; smutniej-szą jeszcze uciekała z piekielnego gwaru, i położyła się do snu. W marzeniach sennych znowu przewi-jało się jej życie dawne z gorączką teraźniejszą, trwoga i dreszcze przebiegały po niej. Zrywała się, krzycząc:

— Jutro! co będzie jutro!

I usypiała znowu, a przed nią stawał Mściśław, nie taki jakim był za dawnych czasów, gdy ją w czo-ło całował, ale ten, który się zjawił raz ostatni, stra-szny, mściwy, groźny i zrozpaczony. Mściśław chwy-tał ją za rękę z jednej strony, z drugiej ciągnął król, a pijana gromada stała przed nią, wyszczerza-jąc zęby i okrzykując ją królową. Męczyła się tak, spać niemogąc i wstała wreszcie, gdy dzień biały przez szpary okiennic zaglądał.

Dzwonek na Skałce brzmiał jakoś i jęczał strasznie, pogrzebowo! Był to ten sam, co w dniu kłótni zwolywał lud i dzwonił świecom zgaszonym.

Gdy orszak królewski przesunął się przez po-

dwórcę, na zamku zrobiło się jakoś pusto i czarno. Krysta wyrzała z trwogą ku temu miejscu, gdzie wczoraj tak brzmiało wesele.

Tam parobcy z ostrzyżonymi krótko włosami, w brudnych sukmanach zwijali się z winnikami i mietli, śmiejąc się, śmietnisko. Niekiedy schylił się który, podjął błyszczącego coś i cieszył się, zbiegali doń wszyscy, wyrwali sobie i śmiechem ich dzikim znowu rozlegało się podwórze. Usłyszawszy go, Krysta schowała się i napół zasunęła okiennice.

Na zamku po wczorajszej burzy wesela cicho było jak w grobie; król wyjechał, goście poszli precz, Rusini spali, czeladź spoczywała, od miasta nawet głosów i życia słyszać nie było.

Dzwonek na Skalce zadrgał raz jeszcze i dźwięk jego obumierał w powietrzu!

Cisza ta wydawała się niemal tak straszna jak wczorajsza wrzawa. Dzień był żałobnie smutny, niebo gęste oblały mgły, z poza których słońce się wybić nie mogło. Białe osłony zdawały się ciężać nad ziemią i dusić ją—nie było powietrza dla piersi, oko nie mogło przebić tych opon gęstych i nieprzejrzystych.—Odetchnąwszy czuć było duszącą woń mgły, co jak spalenizna jakaś gryzie by dym i dławi.

Krysta siedziała w oknie, o krawędź oparta, patrzyła i słuchała, myślała coś i rwały się jej myśli. Chciała odgadnąć, dokąd znów król mógł pojechać tak rano?

Choć on jej nie widział, ona mu się dobrze przypatrzyła, miał twarz jakąś gniewną i rozjątrzoną, jak gdyby jechał ścinać i wieszać... Oczy mu stały słupem, a nic nie widział. Ludzie, co z nim byli, oglądali się dzikim wzrokiem, jakby przestraszeni, razem i zajadli. Borzywój i Zbilut spojrzeli ku niej,—nie po swojemu; oba tak jakoś patrzali, tak się kłaniali, jakby na stracenie szli, a żegnali na wieki.

Dokąd że jechali tak rano i gromadnie?

Nie na łowy—psów, ni sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów—miecze tylko.

Wśród tej głuchej ciszy, nagle, — czy się jej przydało — usłyszała zdala krzyk okropny... krzyk wściekłości jakiejś i morderstwa. Potem zmięszane głosy i wrzawę, dzwonek na Skalce zaczął się poruszać żywo, bijąc jak na trwogę, raz po raz, nieustannie. Zdala znowu urwane jakieś jęki i wołania przerwały ciszę...

Serce jej zaczęło bić strasznie; — wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze.

Trzebaż jej było żyć tak zawsze, godziną szczęścia i dniami nędzy a strachu? — za godzinę płacić wiekami? Łzy popłynęły z oczów. Była królową—toć królewskie życie!

Zatętniało nagle szalonym biegiem. Ktoś cwałem biegł ku zamkowej górze, jeden, dwu, kilkunastu... Gonili, czy uciekali, gnali straszliwie—Krysta się wychyliła.

W bramie ukazał się król, Krysta go nigdy jeszcze nie widziała takim strasznym, z krzykiem zakryła oczy.

Blady był jak trup, a oczy mu wyskakiwały z powiek;—usta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzył i nie widział; na jednym policzku miał jakby plamę krwi, która zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce krwią miał oblane, mieczyk, który mu wisiał u pięści, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli, pobroczeni krwią, jak on, pijani morderstwem Boleszczyce, krzycząc, popychając się, swarząc ze sobą. Za nimi sunęła się wolniej czeladź, wylękła i przerażona, szepcząc między sobą, oczyma goniąc za panem.

U przedsienia król z konia się zsunął wprost na ławę. Otoczyli go kołem Boleszczyce, gwar się wszczął jakiś, swar czy kłótnia, jakby nieprzytomni zajadać się chcieli. Stali, odchodzili, siadali ocierając ręce krwawe o murawę, o ściany, o poły, otrzeć ich niemogąc...

Króla widać było jak się rozsiadł dumnie, szeroko, ale pograżony cały w sobie, nie słysząc, nie widząc nic, wąż gryzł w ustach, a palcami czasem krwawy policzek ocierał, jakby go ta plama krwi piekła.

Krysta ręce załamała:—krew!!—krew! Czyja to była krew? Zwierza na łowach ubitego, czy człowieka zamordowanego?...

Tymczasem od miasta zaczynała buchać i dołatywać wrzawa jakaś, wzmagająca się coraz, rosła, podnosząca—płacz, krzyki i jęki z niej biły.

Śmiertelną trwogą opanowana, Krysta uczuła zimno w całym ciele i poszła skryć się w najciemniejszy izby kątek. Zasunęła okno... ale wnet, wytrzymać nie mogąc duszącego powietrza izby, na nowo je otwarła.

— Stało się coś,—nie wiedziała co,—ale strasznego coś stać się musiało.

Podwórcę przebiegli ludzie, pędem lecąc ku miastu, jedni po drugich. Inni z miasta wpadali przez wrota i pędzili ku dworowi.

Zajrzała Krysta co się z królem działo — nie było go już; Boleszczyce błędzili u przedsieni. Dym kłębamii buchał z łaźni.—Z izb wrywali się ludzie jacyś i powracali; słyszać było drzwi trzaskanie, a od teremu dwóch królowych, jakby jeden płacz przeciągły i długi—jakby pieśń płaczek z trumny.

W mieście coraz mocniej wrzało i grzmiało.

— A!—co się stało? co się stać mogło?—myślała Krysta.

Wtem wpadła zdyszana Ciarka, oczy sobie zasłaniając, z krzykiem obaliła się na ziemię i ryczała wielkim płaczem. Krysta podbiegła do niej, wołając by mówiła, co jej było, ale dziewczyna słowa powiedzieć nie mogła, zachodziła się i oczy zakrywała.

Wśród tej trwogi drzwi się otwarły i w progu ukazał się Borzywój.

Był może pijany ucztą wczorajszą, bo się zata-

czał i na nogach ustać nie mógł; twarz miał trupią, a ręce obmyte nosiły jeszcze ślady krwi na sobie. Wszedł, obłąkanemi wodząc oczyma, mówić nie mogąc.

Szybko przypadła do niego Krysta, badającym mierząc go wzrokiem.—Patrzała nań i zobaczyła krople krwi przyschłej do twarzy i we włosach; ręce powalane, na sukni ledwie przysychające plamy — wszędzie krew! — Krzyknęła i uciekła, kryjąc się przed nim do kąta.

Borzywój stał sam, patrząc teraz na swe ręce ze zgrozą, jakby obłąkany, tarł je, chował, dobywał, niepokoił się, szepcąc coś sam do siebie. Zawrócił się do drzwi, jakby wyniść chciał, potem znów ku Kryście i znowu ku drzwiom, i jeszcze raz niemożąc zasuwę otworzyć, podszedł, gdzie Krysta siedziała. Na bladej twarzy jego pot występował kroplami.

Ciekawość przemogła strach i zgrozę.

— Gdzieżeście byli?—co się stało? Krew, co znaczy ta krew!—zawołała Krysta.

Borzywój, zawsze mężny i przytomny, teraz mruczał niezrozumiale, męszał się, mówić nie mógł.

Naostatek buchnęło z niego...

— Król, król — dla króla — szliśmy z królem... bronili jego...

— Król! król ranny!! — załamując ręce, krzyknęła Krysta.—Któż śmiał się porwać na niego? Król!

Borzywój tylko głową potrząsł. Męczył się znów długo nim na słowo się zdobył.

— Nie ranny...—rzekł—klechę trzeba było ukarać... zdrajcę! Zabił go król! zabił!

Krysta twarzą się rzuciła na siedzenie i płakała. Borzywój stał, wciąż patrząc na swe ręce i wciąż je ocierając. Milczał zadumany. Podniosła się spłakana Krysta, wołając:

— O Boże, król!

— Uspokójcie się — bełkotał Borzywój, który sam spokojnym nie był i czoło spotniałe lub dłonie

pożółkle ocierał ciągle. — Uspokójcie się. Co król miał robić, nie chciał go puścić do kościoła... Na progu... król ciął go—ciął... padł—porąbaliśmy w kawałki... małoż ludzi ginie na wojnie... Toć wojna była!

Krysta, pochwywszy te słowa, krzyknęła znowu i odbiegła od niego daleko, kryjąc się w kącie izby i tuląc twarz do ściany.

Borzywój stał pomieszany w miejscu, sam sobie napróżno usiłując dodać ducha.

Wtem nadbiegł Zbilut. I na nim ślady przełanej krwi widać było, i od niego czuć mordu gorączkę. Zobaczył od progu Borzywoja, oczyma poszukał Krysty. Spojrzali na siebie bracia może raz pierwszy po powrocie, i zadrżeli... Zdali się sobie ludźmi nowymi.

— Krew!—szepnął, wskazując Zbilutowi suknie jego, Borzywój.

— Krew! — odparł prawie razem, wyciągając ręce ku bratu Zbilut i ukazując mu twarz jego, odzież i dłonie.

Krysta zdala wołała ku nim jęczącym głosem:

— Wynijdzie ztąd! wychodźcie! — krew przynieśliście z sobą!

Zbilut zaczął coś mrużyć niewyraźnie.

— Przybyliśmy, abyście byli spokojni—wszystko się już skończyło, wszystko!

Przestraszona Krysta, nie chcąc słuchać ich, wołać poczęła:

— Zbójcy, idźcie ztąd! Zbójcy!

Borzywój się chciał zaśmiać, nie mógł. Bił się w piersi ręką i mruczał, poglądając na brata.

— My nie poczynaliśmy... sam król ciął—prawda? w głowę... Trysnęła krew... Sam król... Kazał rąbać. Leżał już, jak martwy na ziemi... wszyscy siekli... kiedym ciął...

— Tyś wprzód nań padł.

— Nieprawda—ty!

— Nieprawda! jam nie tknął!

Poczęli się klócić z sobą bracia.

— A skądże u ciebie krew na rękach?

I słysząc już nie było, co mówili, bo razem poczęli krzyczeć, przypadając ku sobie.

Krysta w rozpaczy powtarzała ciągle jedno:

— Idźcie ztąd, wy zbójcy! idźcie ztąd!

Aż Borzywój, porzuciwszy kłótnię z bratem, zawołał na nią:

— Cóż i króla przepędzisz, gdy przyjdzie? — Toć nie my go zabili, ale on.

— Kłamiesz! zbójco! — wy, nie on! — płacząc wołała Krysta—idźcie ztąd!

Uparty krzyk kobiety wygnał ich nareszcie za drzwi; natychmiast oszalała ze strachu Krysta pobiegła za nimi i zasuwę zaparła, a sama się na ławę rzuciła.

U drzwi jej, jakby nie wiedzieli co robić z sobą, stanęli oba Boleszcyce, patrząc jeden na drugiego. Nie mówili nic, wzajem tylko pokazywali plamy krwi na sobie. Z przedsienia słysząc było gwar wielki na mieście... Wtem od królewskiego dworca rozległ się donośny krzyk.

— Tu bywaj!

Pobiegli natychmiast, wyścigając się; był to głos króla.

Bolesław stał u wniścia, blady, lecz już ostry i przytomny. Ręce obie w boki wparłszy, patrzył do koła, jakby szukał kogo miał zabić jeszcze.

— Sam tu!—zawołał szybko, szparkami słowy, które się gonić za sobą zdawały, wskazując na Borzywoja.—Sam tu! Ład mi zrobić. Ludzie i konie w gotowości. U wrót strażę, czaty na wały. Na miasto niech pędzą konni i tłum od Skalki rozegnać precz. Bieczami zagnać do domów. Na Bawole, na dolinie, straż postawić na gościńcach. Na zamek reszta i niech tu stoją...—krzyknął.—Żywo!

Borzywój chciał biedz, strzymał go.

— Stój—nie! Na zamku, żeby ład był, więcej

nie trzeba—trwogi niema, niech nie myślą, że się lękam... Kogo?

I rozśmiał się, ale razem brwi ściągnął, jak gdy zły bywał.

Rozbiegli się wszyscy, król na ławie w przed-sieni ze psy siedział. Ludzie z zamku zaraz na mia-sto ciągnęli.

Lecz rozkazy pana trudne do spełnienia były. Siła jakaś niewidoma ciągnęła wszystkich ku Skałce, tłumy oblegały kościółek. Ściągnął je widok okropny.

W samych drzwiach kościoła stała kałuża krwi, od której krwawa ścieżka ciągnęła się aż do ołtarza! W progu leżał trup biskupa, a raczej szczątki okrutnie posieczonego ciała, którego każda część osobno rzucona, z resztkami poszarpanych sukni i ornata, krwią pobryzganych, rozproszone były.

Ludzie stali nad niemi, zachodząc się od płaczu.

Kościół otwarty był i pusty. Na ołtarzu świe-ce dogorywały jeszcze, na stopniach jego leżał wy-wrócony kielich, zgięta pod nogami patyna, chusta biała krwią zboczona...

Od kościoła rozbiegło się zrazu wszystko, co przy nim było, strwożone świętokradzkim morder-stwem.

Lud tylko u progu stał, cisnął się, nie mogąc odejść, nie śmiejąc tknąć tych zwłok, które już uświę-ciło męczeństwo.

Od tego okrwawionego kościelnego progu, tej-że godziny wieść leciała po całej ziemi: —król przy ofierze świętej zamordował biskupa!

Ludzie nieznani nieśli ją do kościołów, miast, na zamki i grody...

Przez cały dzień na Skałkę płynęły i odpływa-ły tłumy: nikt nie poważył się pomyśleć o tem, aby cześć należną oddać relikwijom zabitego biskupa.

Wieczór nadszedł, gromady pozostały w odda-leniu, patrząc w niemej rozpacz na kościółek pusty i krew zaschlą na jego progu.

Noc zapadła na zamek, gród i okolice; z Wa-

welu słuchając, można było jeszcze pochwycić gwar nieuśpionego miasta, tentent koni, wołania i krzyki. Z sąsiednich osad pieszo przybywało duchowieństwo, konne poczyty ziemian i rycerstwa. Około domku na Skałce nocą obozowała już cała gromada ściągające-go się duchowieństwa, które się modliło, płakało i drżało, ku zamkowi spoglądając.

Posłańców wyprawiono na wsze strony świata, a gdy ranek wszedł nowy, zwłoki męczennika już znikły, ślady zabójstwa z niemi, kościół tylko stał zaparty pieczęciami wielkimi, na drzwiach obwaro-wany. I dzwonek się już nie odezwał dnia tego.

Na Wawelu też drugiego rana pieczęcie czarne wisiały u zapartych wrót Ś. Wacława.

Cisza grobowa panowała na zamku, król zam-knął się na nim, obwarował i nie ukazywał. Pod-wójne straże u wrót chodziły dniem i nocą, w po-dwórzu stały gotowe konie i ludzie chodzili zbrojni, jakby je wnet dosiąść mieli... Zamek wydawał się obleżonym.

Trzeciego dnia przez Wisłę widać było prze-prawiający się oddział zbrojny, który wszedł do mia-sta i obozem się położył u stóp Wawelu. Tym do-wodził stary Leliwa. Nazajutrz Kruk nadciągnął z drugim, na noc Brzechwa z trzecim stanął. Wszy-scy w milczeniu, spokoju, legli niedaleko zamku; z okien widać było obozowisko.

Król kazał ostrzyć miecze, łuki i oszczepy go-tować, ludzi swych liczył. Niewielu ich miał przy sobie; reszta żołnierstwa rozsypana była po zamkach, na pograniczu, w grodach, w których się gromadziła siła zbrojna od dawnych czasów, na zawołanie kró-lewskie, gdyż żywić ją w jednym miejscu trudno było.

Od tamtych oddziałów złe przychodziły wieści. Duchowieństwo już z wodzami było w porozumieniu; ten i ów wymawiał się, że przybyć nie mogą, inni milczeli, niektórzy wprost wypowiadali posłuszeń-stwo. Władzę tymczasowo chwyтали wojewodowie

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Мая 1902 года.



KW/H 265

I.

Izba, do której biskup wprowadził Mściława, była niewielką komorą, tak ubogą i skromną jak całe domostwo, które Stanisław ze Szczepanowa zajmował. Ściany jej tylko dźwigały skarby wielkie: zajmowały je półki prawie całe wypełnione ogromnemi księgami w drewnianych okładzinach z mosiężnemi i kościanemi ozdobami. Leżały one, stały pojedynczo jedną na drugich, ciągle snąć chwythane i odkładane, niezamknięte klamry niektórych z nich świadczyły iż tylko co używane były.

Tę nieocenioną naówczas zdobycz biskup przywiózł z sobą na polską ziemię, po siedmioletnim pobycie w Paryżu. Pierwszy to był po Benedyktyńskich zbiór tak obfity, a cała pono ojcowizna biskupa poszła na jego zakupienie, bo rękopisma płaciły się na wagę złota.

W pośrodku izdebki stał stół z pulpitem do czytania i pisania, z podwyższonem siedzeniem, i wszystkim przyborem ówczesnym do pisania, trzcinami, inkaustem, pargaminami. Tu leżała w woreczku jedwabnym owalna pieczęć biskupia, sznury i воск, na którym ją wyciskano. Przy nich paliła się lampka włoska, z knotem zanurzonym w tłustości, która przyświecała biskupowi do czytania rozłożonej na pulpicie księgi.

Przerwała ją wrzawa i zjawienie się Mściława...

Biskup patrzył nań i ręce załamał z boleści. Strasznie wyglądał więzień Bolesławowski i litość

i żupany. Za każdą odebraną wieścią, król się porывał, jakby lecieć chciał ukarać winnych, lecz siły po temu nie było. Po posiłki stać i żądać od węgierskiego króla sromił się. Nie chciał się przed obcemi przyznać do słabości, spodziewając siłę zastąpić odwagą. Na zamku krzątano się żywo.

Jednego dnia o zmroku król kazał przywołać Borzywoja. Obóz na dolinie pod zamkiem, na który codziennie patrzył, gniew w nim budził i niecierpliwość.

— Jedź — rzekł, wskazując ręką przez okno ku Wiśle. — Jedź tam, do tych ludzi, zapytaj ich, po co tu przyszli, czego tu stoją?

Borzywój, który od dnia popełnionego przez króla morderstwa, chodził jak obłąkany i nieprzytomny, nie odpowiedziawszy, wyszedł spełnić rozkaz. Konia nie wziął, towarzysza sobie nie dobrał, sam jeden, o mieczyku tylko u pasa, śmiałym krokiem skierował się do obozu u stóp Wawelu.

Gdy ujrzano jednego z Boleszczyców, idącego ku namiotom, prawie bezbronnego, zdziwienie było wielkie; nikt przecie po drodze ani go zaczepił, ni się tknąć ważył.

Dopuszczono go do namiotu Leliwy, który mu na zapytanie ludzie wskazali.

Znalazł tu kołem zasiadającą starszyznę. Spojrzeli na wchodzącego, którego z oblicza znali, a ze stroju wiedzieli, iż do dworu należał. Nikt ani powstał, ani go pozdrowił; gospodarz z pod brwi nawisłych patrzył nań pogardliwie.

— Przychodzę do was od króla! — rzekł Borzywój.

— Od jakiego? — zapytał sparty na ręku stary. Od króla! my tu żadnego nie znamy. Ten, którego mieliśmy, wyklęty został i odsadzon od korony, a nowego jeszcze nie wybrano.

— Tak to już myślicie! — rzekł Borzywój. — Dziwna rzecz, aby klechy miały królów sądzić.

— Przecie ich namaszczają i koronują — odezwał się duchowny, który siedział za Leliwą.

— Nie moja sprawa to, a wasza, — rzekł Borzywój. — Przychodzę od Bolesława, syna Kaźmirzowego, który dla mnie jak był, tak jest królem; po co tu obozem pod jego zamkiem leżycie? Chcecie z nim wojny? przysłiście mu w pomoc? król, pan mój miłościwy, wiedzieć potrzebuje.

Na to pytanie nikt nie odpowiedział, patrzali po sobie, jakby naradzając się, z czem go odprawić mają. Borzywój czekał napróżno, naostatek, zawołał niecierpliwie:

— Cóż, wrogami mu jesteście!

Leliwa patrzył w ziemię, mieczem, który trzymał w ręku grzebiąc w niej. Wtem wstał z za niego siedzący duchowny wieku podeszłego, twarzy ostre rysy oznaczanej, i z wielką gwałtownością, palec wymierzwszy ku dworakowi, — począł:

— Powiedz temu zbójcy, krwią oblanemu, powiedz Kainowi, iż przyszli tu ziemianie, aby stali na straży i oblegali go, dopóki precz nie wyżeną.

Krwia się jego mazać nie chcą, ale precz z tej ziemi musi iść.

Borzywój krzyknął z oburzeniem, chciał mówić, zahukano go, wszyscy podnieśli głowy, ręce powyciągali i wołali.

— Precz z tej ziemi musi iść! precz! precz!

Nie rychło przyszedł do głosu Boleszycz i zawołał:

— Nie łaćno go wyżeniecie! Poskramiał on niejednych gorszych od was i silniejszych, i was poskromić potrafi!

Zaczęli się śmiać, uragać i szydzić ziemianie, nie odpowiadając mu. Odwracali się tyłem do posła, rozmowy z nim nie chcąc prowadzić. Duchowny tuż zaraz słał chłopię po święconą wodę i księgę, aby po nieczystym człowieku, który się wdarł tu, miejsce splugawione przezeń, modlitwą oczyścić.

Borzywój nadto był dumny, aby się długo z niemi spierał po takim przyjęciu. Kilka przekleństw srogich z ust mu się wyrwało, pięściami pogroził i z namiotu wybiegł wściekły z gniewu. Przechodząc obóz i kupami stojących ludzi, ledwie znieść potrafił szyderstwa i przekąsy, plucie i odgróзки. Nie mógł się do nikogo chwycić, bo by żyw na zamek nie wrócił. Przyszedłszy tu, tak był jeszcze nieprzytomny i pomyślany, że do króla nie poszedł i siadł w kącie, aby to, czem go nakarmiono, wydychać. Przebył tak dość długi czas, gdy go zawołano do króla.

— Cóżes przyniósł! — krzyknął niecierpliwie Bolesław — mów!

— Nie miałem z czem śpieszyć, — ponuro odparł Borzywój. — Znać oni was nie chcą. Krzyczą, abyś z ziemi tej uchodził.

Król stojąc naprzeciw mówiącego, rzucił się z gniewu ku niemu.

— Moją jest ta ziemia, a nie ich! Moją! zawołał głosem wielkim, korony mi z głowy nie zedrze nikt. Chcą wojny, to ją będą mieli, — będą ją mieli.

Kazał sobie powtórzyć Borzywojowi wszystko, co w namocie słyszał do słowa i począł myśleć o obronie.

Tegoż wieczora, z ludzi, którzy przy nim pozostali, wybrał Bolesław najwierniejszych sobie, najzręczniejszych i najśmielszych, kazał im dać odzież i uzbrojenie, po któremby ich nie poznano łatwo i wyprawił z zamku, polecając, aby lud zbrojny między pospółstwem dla niego ściągali.

Nie łatwą to było sprawą teraz, lecz Bolesław jeszcze na wielu rachował po powiatach, których niegdyś obficie opatrzył majątnościami i wielkiem mieniem.

Tymczasem bezczynność ziemian pod zamkiem stojących dodawała otuchy, iż się posiłków król doczeka. Znikąd ich jednak widać nie było.

Jednego z pierwszych wieczorów po dokonaniem morderstwa, gdy Bolesław nieco ochłonał, przypomniał sobie opuszczoną Krystę, i poszedł do jej dworca. Dziwiło go, iż się do niego przez sługi nie odzywała jak dawniej.

Drzwi znalazł stojące otworem, nieład jakiś w mieszkaniu, dziewczęta z włosami porozplatanymi, w białiznie jednej, siedziały na ziemi, jedne płacząc, drugie, jakby snem znużone.

— Oczyma zdumiałemi popatrzył król do koła — Krysty nigdzie widać nie było!

Gniewnie potracił nogą leżącą na ziemi Ciarke.

— Gdzie wasza pani? — zakrzyczał.

Dziewczęta zaczęły płakać i jęczeć nie odpowiadając.

— Gdzie ona jest? — zagrzmiał powtórnie głosem groźnym, podnosząc rękę jak do bicia.

Dziewczęta porwawszy się, zaczęły uciekać przerażone, a Ciarke, którą król za włosy pochwycił, padając na ziemię, przelekła wołać poczęła.

— My nic nie winne! my niewinne! Nie wiemy co się z nią stało! Poszła. Wczoraj już jej nie było...

Król stanął, z gniewu się trzęsąc... Chciał pytać, ale ze strachu od przytomności odchodzące dziewczęta, jęczały, odpowiedzieć nie umiejac. Stała się wrzawa i wołanie na wszystkie strony, zbiegli się ludzie, poczęły pytania. Nikt nie umiał wskazać ani jak uszła Krysta, ani czy sama jedna, czy przez kogo uprowadzona.

Rozesłano dwór szukać jej po całym zamku, po kątach i komorach, lecz nie znaleziono nigdzie, nie widział jej nikt.

Wszyscy byli tak królem i sobą samymi zajęci, iż nikomu zajmować się nią na myśli nie powstało. Król wpadł w gniew niewysłowiony. Sieć kazał z kolei sługi, groził śmiercią; żadna męka wydobyć z nich nie mogła wieści o Kryście. Wśród chłosty plotły każda co innego, i coraz się przeciwiąc własnym wyznaniom. W istocie nikt nie wiedział, co się

z nią stało. Krysta potajemnie od dziewcząt swych chwyciła odzież prostą, płachtę grubą, wybrała chwilę, gdy sługi się pospaly, i nieprzytomna, na wpół obłąkana, wysunęła się z zamku, powtarzając ciągle jeden wyraz: krew! krew!

We wrotach straż niewiast nie zatrzymywała, dano się jej wysliznąć, nie przypatrując nawet o mroku.

Nie wiedziała, ani dokąd szła, ni co się z nią stać miało — uciekała od krwi, która goniła za nią. Ku miastu zszedłszy, zobaczyła kościółek na Skalce, i widok jego przeraził ją na nowo, uchodzić zaczęła, pędząc co sił, bez drogi, na oślep, krzycząc:

— Krew! krew!

Biegła tak drżąca, zdyszana, zapłakana, aż póki, dostawszy się na gościniec jakiś, nie padła. Oprzytomniawszy, poznała tę drogę. Stał nad nią drewniany krzyż, obwieszony płachtami chorych ludzi. Tą drogą, pamiętała, jechała niegdyś z królem, gdy ją z Bużenina na zamek uwoził, śmiejąc się szczęśliwa, marząc, że zostanie królową.

Wracała nią teraz pieszo, zapłakana, nieprzytomna, przeleżała, patrząc niespokojnie na siebie, na ręce swe, na szaty, na nogi, i widząc wszędzie krew!

Upadła znużona na ziemię wilgotną i zerwała się prędko, bo mokra darń wydała się jej krwią przesiąkniętą... Chciała biedz dalej, gdy brzęk oręży i tentent koni ją nastraszył; przypadła znowu, pragnąc się skryć.

Gościńcem jechał cały zastęp ziemian zbrojnych, coraz bliżej, coraz głośniejsze chrzęszcząc zbrojami, brzęcząc łańcuchami, miejsce było odkryte, nigdzie ani krzewiny. Krysta zerwała się i biedz poczęła co sił ku zarośłom.

Uciekając, posłyszała za sobą tentent konia, jeździec jakiś ją doganiał, dopędził i nagle za suknię pochwycił. Krysta zachwiała się i upadła na wznak: płachty, którei głowę miała obwiązana, rozpadły się i twarz jej odkryły.

Dwa razem okrzyki ozwały się z piersi dwojga: krzyk radości i trwogi.

Nad Krystą stał Mściśław. Przecucie jakieś pognało go za uciekającą.

— Krysta! — zawołał głosem pełnym boleści. — Krysta!

Ona omdlała leżała na ziemi, blada jak trup, a gdy Mściśław ocucił ją nareszcie, rzuciwszy nań wzrokiem obłąkanym, zawołała:

— Krew! — i zemdlą znowu!

Mściśław, choć rycerz i mąż wielkiej siły, oczy miał łez pełne.

Nigdy on uwierzyć nie chciał, ażeby płochę to serce odwrócić się miało od niego, rozmiłowany był w niej zawsze; nawet, gdy uwieszona na ramieniu króla, wypowiedziała mu wiarę — i w tem jeszcze widział tylko kłamstwo dla ocalenia mu życia popełnione.

Odzyskać swą Krystę pragnął najgoręcej; — namiętność jego była ślepą. Rozradowany więc tem, co za cud prawie uważał, jak matka troskliwie okolo niej chodząc, począł ją cucić i tulić.

Krysta przerażona widokiem jego, drżała ciągle i płakała; — rękami odpychała go, a usta ciągle powtarzały jedno: krew!

Nierychło przekonał się Mściśław, iż widok jego tak ją trwożył, iż jej zmysły odbierał. Musiał się odsunąć nareszcie i powierzyć opiece obcej, aby nowych omdleń i krzyku nie być przyczyną. Nie mogła nań patrzeć i zakrywała oczy...

Z gromady ludzi, których miał z sobą, wysłał natychmiast dwu do miasta, aby mu wóz i starą jaką niewiastę do dozoru nieszczęśliwej sprowadzono. Do domu posyłać za tem zbyt było daleko. Sam zdają został na straży, osłoniwszy leżącą na ziemi z zakrytymi oczyma.

Mściśław, który przeciw króla ziemian pobudzał, jechał razem z innemi, łączyć się z Krukami i Leliwą; jechał wrac zemstą i jęcząc drugich, a nagląc

do napaści. Lecz teraz, co mu był król, wojna, zemsta, gdy Krystę odzyskał! O wszystkim zapomniał. Ludzi swych odprowadził do obozu, sam pozostał.

Pod noc już, nierychło, nadciągnął wóz i znajoma mieszcza, babka z Krakowa, która nieraz w Bużeniu bywała, bo ją za lekarkę miano. Właśnie znużona płaczem może i głodem Krysta usnęła była, leżąc na ziemi. Zwolna podniesiono ją i położono na wozie, a gdy zbudzona otworzyła oczy, ujrzała nad sobą nie już straszego Mściśława, ale twarz staruszkę, która jej jak niańka dziecku, głowę otulała.

Zamknęła oczy, nie chciała patrzeć. Wóz zwolna się poruszał, a za nim Mściśław konno, gdyż go nikomu nie chciał powierzyć.

Do Bużenina z chorą było mu zadaleko; bliżej do Góry, w której mieszkała owdowiała matka Krysty, bo tylko jeden mały dzień drogi. Tam teżjechać kazał.

Krysta na wozie leżała jak w kolebce, dając się karmić i poić, bezmyślnie, jak dziecko. Zdało się jej, że to wszystko, co przeżyła snem było, że znów powracały dni dzieciństwa i młodości, że mogła być znowu szczęśliwą, spokojną, kochaną.

Tamto wszystko, co się jej przypominało z przeszłości burzliwej, zmorą jakąś było straszną, która przemienęła na wieki.

W nogach jej na wozie siedząca starucha zgarbiona, otulała ją ciągle i jak dziecku do snu nuciła.

Mściśław jechał umyślnie zdaleka, aby ją nie trwożył tentent konia i brzęk żelaza, które miał na sobie.

Drugiego dnia nad ranem koniom dla paszy i spoczynku stanąć trzeba było. Mściśław, kryjąc się jeszcze przed nią, przez litość, którą miał nad nieszczęśliwą, poszedł w zarośla spocząć opodal od wozu.

Stara pomogła Kryście chusty odrzucić, aby popatrzała na świat boży. Przebudziła się zdziwio-

na, powiodła do koła oczyma czarnemi. Las zieleńjący stał, nad niemi pusto było i cicho, ptaszki śpiewały w gąszczach, nad głowami lazurowe rozposcierało się niebo. Lice się jej rozpozgodziło: trochę zapomniała przeszłości i pozbyła trwogi.

Wóz stanął na spoczynek nad gościńcem samym. Krysta jeszcze się zdumionemi oczyma rozpatrywała w łąkach i drzewach, gdy na drodze jeźdźcy się pokazali.

Była to gromada ziemian zbrojnych, jadących także do Krakowa na zawołanie starszyny. Ciągnęli powoli, i przeciągać mieli mimo stojącego w cieniu wozu, gdy jeden z nich spojrzał, rozśmiał się głośno, dziko i z koniem do wozu przyskoczył.

— Hej, Krysta Bolesławowa! hej, Krysta miłośnica! Cóżes to pana porzuciła! — krzyknął.

— Krysta miłośnica! — powtarzali za nim inni, śmiejąc się okrutnie, i wóz otaczając do koła.

— Krysta, a gdzie twój pan miły? Czy do piekła pojechał? Czy się skrył do Smoczej jamy?

— Krysta miłośnica! — wołali jedni do drugich, pokazując ją sobie palcami.

— Zabić wiedźmę przeklętą! — poczęli wołać inni.

— Zgnieść to plugastwo wszeteczne...

— Krysta! Krysta! — odzywało się na wszystkie strony...

Nieszczęśliwa, pod tą chłostą słów okrutnych, pod gradem tych wejrzeń strasznych, padła jak nieżywa, zakryła twarz, wtoczyła się niemal na dno wozu, i głosem rozdzierającym znowu krzyczeć poczęła:

— Krew! krew!

Obłąkanie wracało. Drząc i miotając się stężyła z boleścią na wykrzywionych ustach. Gdy Mściśław, ściągnięty jej krzykiem, przypadł, aby ją bronić, zastał już omdlałą i prawie bez życia.

Ujrzawszy go nadbiegającego — nielitościwi lu-

dzie, zamiast usłuchać wołania i prośb, jeli się z niego uragać.

Mścislaw rzucił się na nich jak wściekły, o mało do krwawego boju nie przyszło. Starszyzna, ulitowawszy się wreszcie nad nim, gdy go rozbrojono po krótkiej walce, odjechała szybko, zostawując leżącego na gościńcu.

Nie obeszło się jeszcze bez wykrzyków nad Krystą i śmiechów, a swawolnych wyrazów.

Gdy gromada odciągnęła, stara baba ledwie się nieszczęśliwej zdołała docucić. Życie z niej uszło prawie; skołowaciła leżała z pianą na ustach i oczyma nieruchomemi. Z życiem wracającym, wróciła trwoga, krew i oblężanie.

Mścislaw, któremu w czasie walki u wozu, koń się był przestraszony wyrwał i uciekł, idąc pieszo, prowadził dalej Krystę do matki. Zdało mu się, że szedł za trumną.

Gdy się pokazał dwór w Górze, otoczony częstokołami, poszedł przodem do niego.

Gospodarzył tam zięć drugi, przy którym stara matka siedziała.

Sulisławowa córki swej, od czasu jak jej srom nczyniła, znać ni wiedzieć o niej nie chciała.

Pusto było w Górze; siostra Krysty po chorobie niedawnej leżała, nie wstając jeszcze, stara Sulisławowa za nią i zięcia gospodarzyła w domu. Wielkie wrota pod dachem stały zaparte, cisza pannaowała we dworze.

Mścislaw wszedłszy przez furtę boczną pocichu, zastał matkę na przedsieniu z kądzielą. Ta, ujrawszy go i poznawszy, kądziel rzuciła, aż się stoczyła na ziemię, dłonie podniosła, krzyknęła i uciekać chciała. Wstrzymał ją Mścislaw.

— Matko moja—zawołał.—Miłosierdzia proszę! Ratuj mnie i Krystę...

Usłyszawszy to imię, stara w ręce podniesione uderzyła, zatrzymała się i krzyknęła.

— Coś ty oszalał?

— Krystę do was wiozę;—Krystę moją nieszczęśliwą, ledwie żywą. Uciekła ona sama z zamku, gdzie ją gwałtem trzymano. Znalazłem na polu, chorą, biedną..

Sulisławowa przerażona, niepewna, powtórnie chciała uciekać, lecz rozmyśliła się i wróciła. Lży miała na oczach, serce matki zwyciężyło.

— Oto ją tu wiozę, matusiu najdroższa! Ona jeszcze na mnie dla sromu patrzeć nie może... Chora jest, nieszczęśliwa, ulitujże się! ulituj!

A widząc, że się matka waha, dodał jeszcze:

— Cóż ona winna! co winna!

A tuż skrzypiały wrota, które na oścież otwierano, i wóz się powoli wtaczał w podwórze, na którym ledwie żywa, leżała blada Krysta. Mścislaw skrył się u węgła. Wóz się wstrzymał u wnijścia. Sulisławowa już nie uciekała, lży jej ściekały po policzkach.

Starucha z wolna podniosła bezwładne ciało chorej, ręką ostrożnie jej odchyliła zasłonę z twarzy. Krysta otwarła oczy strwożone i natychmiast zamknąć je chciała, gdy przed sobą ujrziała i poznała matkę, która ku niej wyciągała ręce.

W jej umyśle znów stał się przewrót dziwny, życie znów niby się snem wydało, a otwarcie oczów przebudzeniem.

— Matus ty moja! — odezwiała się.

— Dziecko moje!

I głowa nieszczęśliwej spoczęła na ramieniu starej, oczy jej jak do snu spokojnego zamknęły...

— Al jaki to był sen okropny! — poczęła szepać. — Al to ja w Górze! w Górze...

Oglądała się podnosząc trwożliwie.

— Nieprawdaż? to Góra? Tu niema nikogo złego? tylko ty, matus, siostra i Krysta... a tamto wszystko co było, to sen i zmora!

Sulisławowa płacząc, potakiwała dziecięciu; — powoli, ostrożnie z wozu ją zniesiono.

Teraz dopiero przypatrzyć się jej mogła. Cóż

się to stało z jej Krystą! Z tą śliczną, białą, różową, jak kwiatek świeżą Krystą, przed którą królowie na twarz padali!! Lice miała jak rąbek niebieskonośny blade i żółte, usta sine, jak zwiedły liść róży, oczy wpadłe; drżała jak gałąź osiny, nie mogąc się na nogach utrzymać.

— Góra!—powtarzała po cichu—al co to za sen ciężki miałam, matusiu!

Znowu główkę sparła na jej ramieniu, płacząc po cichu, aby gorzkie łzy, co jej ciężyły, wypłakać z siebie. Sulisławowa płakała z nią milcząca. Matczyna łza gorąca padła na jej twarz. Krysta się targnęła z krzykiem, wołając:

— Krew! krew!

Dwie niewiasty obejmujące ją rękami poczęła odpychać przerażona, aż posłyszawszy głos matki oczy w nią wlepiła, przytuliła się do niej, i uspokojona szeptała:

— Sen to był—sen, matusiu!

Baba stojąca przy niej, powtarzała po cichu:

— Sen, mara...

I matka potwierdzała, głaszcząc ją po zimnem licu.

— Sen, sen!

Tak ją do cichego zaprowadzono kątka i położono na spoczynek. Mściśław na podsieniu usiadł, sparł się na rękach, i—jak wierny pies pozostał na straży. Odstąpić jej nie chciał i nie mógł, a przystąpić do niej nie wolno mu było.

Krysta nie była przytomną i nie była obłąkaną;—zdzieciniała, wracając do Góry, gdzie była niegdyś dziećciem. Dobrodusznym, starym babkom co ją otaczały, pojąć było trudno, co się z nią działo. Mówiły sobie, że to czary, a uroki.

Posłano po baby, aby urok odczywały, aby zamawiały лихо, by jej wróciły przytomność i zdrowie.

Mściśław, któremu niedawno tak pilno było iść z innemi wraz na króla, upadł na siłach i meztwie: siedział w drugiej izbie na ławie, lub sparlży się

na stole drzemał, czatując a pilnując co się z Krystą dzieje.

Próbował do niej iść lecz ile razy się pokazał, oczy zakrywała, mdlała ze strachu przed nim, choć łagodnemi do niej mówił słowami, a pieścił ją jak dziecko.

Matka go też precz pędziła, musiał wracać do pierwszej izby w kącie, na ławę, przysłuchując się ztąd głosowi cichemu Krysty, która z matką dzieciniała...

W Krakowie na zamku coraz, co dzień puścić było. Ucieczka Krysty zgniewała króla i przybiła; przypisywał ją księżom i zdradzie. Chodził po izbach pustych, patrzył po kątach ciemnych, czasem się gniewem wielkim unosił, a co mu naówczas pod rękę wpadło tłukł i zabijał.

Od dnia popełnionego morderstwa godziny spokoju nie było... Każdego ranka ktoś uchodził. Posyłał król po kogo,—nie przybywał; nie było dlań żywaj duszy, oprócz garści dworu, drużyny i niewielu zbrojnych ludzi, co na zamku stali, nie miał z sobą nikogo.

Duma pańska walczyła z tem wypowiedzeniem wojny przez kraj cały. Nie ustępowały z błoni pod zamkiem kupy nagromadzone ziemian i rycerstwa, które go znać za króla nie chciały; nie ustępował on z Wawelu.

Często na złość im król wychodził albo wyjeżdżał sam jeden, mijał je powoli, nastęczał się oczom, zdawał ich wyzywać bezbronny.

Naówczas, zoczywszy go ludzie, odwracali się, jakby go nie widzieli; gdy wołał, udawali, że nie słyszają, gdy pytał, nie odpowiadali, niektórzy bojaźliwsi uciekali od niego. Nie porywał się nań nikt, ale mijali wszyscy.

Z dniem każdym stawało się gorzej.

Kościół pozamykane były wszystkie, nigdzie dzwonu ni modlitwy, nigdzie księdza u ołtarza, lud ochrzczony już i chrześcijański, szczególnie po mia-

stach, próżno się domagał spowiedzi, ślubów, pogrzebu. Księża się przed nim zamykali.

Spróbował król wysłać zaufanego do Poznania, do Gniezna, do Płocka, do Wrocławia, wzywając, aby się doń zjechali biskupi; wszyscy mu jedną dali odpowiedź, iż zbójcy i świętokradcy za pana znać nie chcą, ani głów na miecz jego narażać. Odpowiedzi przychodziły mniej więcej zgodne, łagodniejsze lub ostrzejsze—odmowne wszystkie.

Uśmiechem złym król pokrywał gniewy; ramionami potrzasał i wiódł życie po staremu, nie zważając na nic. Tylko na zamku z dniem każdym było samotniej, a i ludu prostego trudno było zwabić jadłem i napojem.

Przy nim stała wierna tylko ta gromadka Boleszczyców, co się na wszystko poświęciła, byle dochować wiary, dwie królowe i Rusini ich dworu. Zamek jak wyspa na morzu stał odosobniony od świata. Kto w nim mieszkał do tego już w końcu mówić nie chciano i się z nim do jednego stołu, ani mu ręki podać nikt się nie ważył.

Bezsilny gniew króla rozbijał się o milczący, zimny opór kraju. Nie napastował nikt, lecz nikt go nie chciał. Dnie bez końca długie, milczące, straszne, wlokły się na Wawelu, co gorsza bez jutra.

Dworacy Bolesławowi za niego się trwożyli i biegali.

Był jeszcze na stolicy wrocławskiej naówczas biskupem Jan Jastrzębiec, Odyłona syn najstarszy.

Borzywój, po radzie ze swojemi, nie królowi nie mówiąc, dnia jednego wybrał się do Wrocławia, do niego. Mało stryja tego znał, ufał przecież związkowi krwi z nim, że tam znajdzie radę i opiekę...

Na podróż tę przywdziać musiał odzież inną, aby się nie wydawać ludzkim oczom z tem, że do dworu króla należał; a że i z twarzy go dość znano, przebierać się musiał manowcami i lasami ku Szlązkowi, co podróż wielce przedłużyło.

Dopiero w świat ruszywszy przekonał się, jak

trudno było króla ratować. Wszystkie głosy odzywały się przeciw niemu, duchowieństwo trwogą nawet lud, na który król rachował, odeгнаło od niego. Nikt nie myślał stawać w obronie tego, którego dusza i ciało były w mocy szatańskiej.

Rycerstwo i ziemianie brali górę, sieli przestrach, nikt ruszyć się nie śmiał przeciw nim. Pamiętano czasy po wygnaniu Kaźmirzowym, gdy cały kraj się zawichrzył i zasypał gruzami i popiołem; obawiano się ich powrotu, w ciszy i trwodze czekało jakiegoś końca. Za królem nikt się ani odezwać śmiał, choć może go kto i żałował.

Rozpowiadano już o cudach u grubu męczennika, o orłach, co porąbanych zwłok jego pilnowały, o światłości, co nocami nad grobem jego gorzała.

Borzywój, kryjąc się z sobą, i czem był, i z czem jechał, znużony i zgnany przybył wreszcie na dwór stryjski. Tu u progu się opowiedział jako synowiec pański: ale niewiele to pomogło, bo nierychło go dopuszczono.

Biskup Jastrzębiec był już starcem, złamanym wiekiem, z długą brodą siwą, o kiju chodzącym, ale na umyśle przytomnym. Gwałtowny charakter Odyłona w części po nim odziedziczył, chociaż go chrześcijańskie wychowanie znacznie złagodziło. Popędliwość ojca, w synu się stała surowością nieubłaganą.

Milczący kleryk zaprowadził Borzywoja po długim oczekiwaniu do Biskupa. Izba była przyciemniona, starzec opodal w krześle poduszkami obłożony siedział, i gdy Borzywój stanął w progu, podnosząc nań oczy zbladłe z pod zawisłych brwi siwych, zapytał naprzód głosem ostrym:

— Z tych jesteś, co przy królu byli?

— Z tych, co przy królu są—odparł Borzywój z westchnieniem.

— Nie zbliżaj się do mnie! Zdała stać! krzyknął biskup.—Nie waz się z progul!—Czego tu chcesz? Wszyscyście razem z nim wykleć! Znać cię, ani mówić z tobą nie chcę. Precz!

— Miłość wasza, pozwoli...

— Powinni cię byli pod ten dach nawet nie wpuszczać, wołał biskup, ręką bijąc o poręcz. Cemuś go zaraz nie porzucił? Odprawiłeś pokutę? przejdnałeś się z kościołem? Mordercy! świętokradzcy!

— Jakże mogłem króla odstąpić, — rzekł Borzywój, — gdy wszyscy nas i jego odpychają, nawet rady znaleźć nie umiemy.

— Rady! Niema jej dla bezbożników, dla zbójców w grzechu zakamieniałych, — mówił biskup. Gdzie ten morderca?

— Na zamku w Krakowie.

— Trwa więc w złości swej, zabójca błogosławionego brata naszego i swojego. Kain ten krwią ubluzany, rozpustą zgniły.

Borzywój zmilczał. — Biskup popatrzał nań surowo, zdawało się, że w nim trochę litości obudził.

Borzywój, nie wiedząc już co mówić ma, spytał:

— Co król uczynićby powinien, aby mu odpuszczono było?

— Azali mu ta zbrodnia odpuszczoną być może? krzyknął Jastrzębiec. — Świętokradztwo! ojcobójstwo! Jeden tylko biskup rzymski, pan nasz, naznaczyć mu może pokutę, a ta lekką nie będzie.

Borzywój słuchał, milcząc.

— Pokuta, — mówił stary biskup, — z powrozem na szyi, boso, ze świecą w rękę, u drzwi kościelnych stać lata całe, kościołowi oddać wszystko co ma, a precz iść z kraju, bo pomazany krwią ojcowską, pomazaniem Bożym być nie może.

Wzdrygnął się Borzywój; — biskup pilnie go śledził oczyma.

— Toż samo was czeka, służalców, coście z nim byli. Ty? byłeśli tam? podniosłeś rękę?

Borzywój nie odpowiedział, ogarniał go przestach i zgryzota, głowę spuścił jak winowajca.

Milczenie za odpowiedź starczyło.

Biskup rękę suchą wyciągnął i drzwi mu wska-

zał, uparcie trzymając palce drżące, skierowane ku nim. Borzywój nie odchodził.

— Chwili mi tu nie powinienes zostać! — wołał stary Jastrzębiec głosem wzruszonym. *Vade retro!* *Vade retro!* precz! nie znam cię jako krew naszą. Precz!

— Ojcie mój — odezwał się zimnym oblany potem Borzywój — pójdę, nie idzie mi o siebie, ale o pana mojego. Radźcie, co czynić ma.

— Tak więc jeszcze kochacie tę potworę? — krzyknął Jastrzębiec — tak stoicie o tę zgniliznę, co się tylko zdała na ogień piekielny? Ha! Czujecie, że spółnictwo zbrodni was z nim wiąże! Razem djabłu wpadniecie w paszczę...

— Rady! — krzyknął Borzywój błagająco...

— Niech się wlecz w żebraczem odzieniu do Rzymu, niech tam u nóg Ojca naszego, papieża, padłszy, błaga o rozgrzeszenie, a królestwo niech opuści, bo dopóki on je kala przytomnością swoją, ani świętej ofiary, ani błogosławieństwa nie ujrzy ta ziemia: odłogiem zalegnie, spustoszeje, ogień je pożre jak Sodomę i Gomorę.

Gniew wzrastał w piersiach biskupa, Borzywój nie śmiał się odzywać; myślał się już w ostatku cofnąć, gdy Jastrzębiec zawołał nań.

— Litość mam nad tobą, — rzekł, — jeżeli się kajać będziecie ty i twoi bracia, naznaczę pokutę i wyjednam oczyszczenie! Zostań poza obrębem mojego dworu, za bramą, los ci obmyśle.

— Ojcie mój, odezwał się Borzywój, dzięki wam składam najpokorniejsze, alem ja jeszcze sługą i do mojego pana powrócić muszę.

Zaledwie usłyszawszy tę odpowiedź, biskup się porwał trzęsąc z siedzenia.

— Precz zatwardziały! precz niepoprawiony, bezecny! który wracasz do nieprawości swej jako pies do tego, co z siebie wyrzucił. Precz! noga twa niech tu nie postanie, oczy moje niech cię nie widzą więcej!

Biskup gwałtownie w ręce bić, i kija wyszukawszy, stukać nim zaczął, miotając się cały zburzony. Wpadł kleryk przelekły.

— Precz z tym poganinem! za wrota go wyrzucić! Niech mi nie kala podwórza i progu! precz! W gniewie namiętnym biskup, któremu głosu brakło, upadł na krzesło, a kleryk zlekka za rękaw ująwszy Borzywoja, natychmiast, wedle rozkazu, wywiódł go ze dworu.

Otwarto wrota, wyprowadzono konie ze dworu biskupiego, wyrzucono na ulicę i wrota się za nim zamknęły na wrzeczadze.

Po wyjściu jego jeszcze starzec zajadły przywołał ludzi, nakazując im, aby mu ni chleba ni wody nie dawali, choćby z głodu umierał.

Pozostawszy tak na gościńcu u wrót, Borzywój, który choć chwilowo, spodziewał się przytułek znaleźć u stryja, w obcym miejscu, sam jeden, niebardzo wiedział jak się obrócić. Na dworze biskupim miał wprawdzie bratanka Pawła, którego stary Jastrzębiec wziął do siebie, aby go do stanu duchownego sposobić, lecz o tego ani się teraz dowiedzieć, ni doń można było przystąpić. Chciał spróbować ludzi pytać, lecz po zatrząśnięciu wrót, gdy przez okno go postrzeżono stukającego, nikt nawet mówić doń nie chciał.

Stary Jastrzębiec długo potem uspokoić się nie mógł.

Od niego Paweł, bojaźliwy, zahukany nowiejusz, dowiedział się o losie Borzywoja, lecz szukać go, mówić z nim byłby nie śmiał, jako z wyklętym. Kłątwa węzły rodziny zrywała.

Borzywój pociągnął do miasta, ubogiej sobie szukając gospody, aby trochę w niej spoczawszy, zaraz nazad powracać do Krakowa.

Po Szlążku już chodziły wieści, że się tu znowu Czechów spodziewano, który kraj, jako bezpański, prawem dawnego podboju zajmować chcieli.

Przysposabiało się znowu rozerwanie królestwa i łupieże.

Borzywój, który ze wszystkich najczynniejszym był, nazajutrz już siadł na koń i wracał do Krakowa, postanowiwszy zataić przed królem, co od biskupa usłyszał. Znowu temi samemi manowcami puścił się w swą drogę, unikając ludzi, omijając gościńce, noclegując po lasach i gestwinach.

Gdy na Wawelu stanął, znalazł tu wszystko jak było, tylko garść, co przy królu stała, zmniejszoną, a Bolesława ogarniętego jakimś szalem niby wesołym, w istocie rozpaczliwym, urągającym się światu całemu. Przez tyle dni nie widząc Borzywoja, król gdy go znów spostrzegł przy sobie, nie spytał nawet gdzie był i co poczynił, popatrzał tylko nań długo, odwrócił się i poszedł.

Dumny król o tem, co mu groziło, co go otaczało, dotykało, nie wspominał nigdy, mówić nie chciał, zdawał się nie widzieć. Występował z całym królewskim przepychem, sypał skarbami i o jutro nie zdawał się troszczyć wcale. Z drużyną rozprawał o łowach, koniach, sokołach, o kobietach, o wojnie, o dawnych czasach, nigdy o tem, co się działo. Gdy kto słowo wtrącił o sprawach obecnych, odbierał wejrzenie groźne i zmuszonym był milczeć.

Twarz tylko królewska świadczyła, że to, co z niego nie wychodziło, pożerało go wewnątrz. Zżółkł, starzał, posępniał, a wesołym chcąc być, stawał się złym. Najmniejsze przewinienie we wściekłość go wprawiało.

Wieczorem po powrocie Borzywój poszedł z innemi za królem do sypialni, a gdy się tamci porozchodzili, u drzwi pozostał. Król zobaczywszy go, stojącego uparcie, w chwili, gdy na sen kubek miodu dopijał, wedle zwyczaju, odezwał się ostro do niego:

— Czego ty chcesz odemnie?

— Miłościwy panie, — odparł Borzywój, — czasem i o tem mówić trzeba, co boli.

— Niel—zawołał król — o tem, co boli tylko baby rozprawiają, mężowie ból powinni umieć zwyciężyć i śmiać się.

— Gdybyście pozwolili, miłościwy panie—odezwał się Borzywój.

— Mów, gdy cię język piecze—rzekł król niecierpliwie,—mów a nie baw mi długo.

— Nie kazalibyście mi do Węgier jechać i przyprowadzić trochę ludu?

— Ja? prosić o posiłki u cudzych ludzi na domowe sprawy!—wybuchnął król. Cóż mi grozi? — Stoją i patrzą, poczynać nic nie śmieją. Lud trzeba ruszyć, a nie obcych ścigać, lud, gmin.

— Miłościwy panie — lud teraz się wyciągać nie da. Zapóźno!

Król się obruszył gniewny.

— Boście wy wszyscy baby, tchórze, i bez mózgu czereda! Nie umiecie nic, a ja sam od chaty do chaty chodzić nie mogę.

— Od chaty do chaty chodzili księża i postraszyli ich...

Bolesław legł, dopiwszy kubka, odwrócił się do ścian, natychmiast zmienił rozmowę; chciał się dowiedzieć o liczbie ziemian i rycerstwa, które pod Wawelem stało. Borzywój nie umiał odpowiedzieć na to, uląkł się tylko, gdyż przewidywał myśl króla, który mógł z garstką sobie wiernych rzucić się na tłumy.

Wszystka ta gromada, jaką król miał przy sobie, ograniczała się do kilkuset głów zaledwie, a zbierający się ziemianie i rycerstwo po przedmieściach i stojący w okolicy, na tysiące się liczyli, byli do brze zbrojni i przez samego niegdyś Bolesława do wojen zaprawieni. Byłato czujna straż, otaczająca Wawel, wyczekująca na ustąpienie króla, do którego zmusić go, naostatek choćby głodem, spodziewali się.

Długo milczał król, jakby usypiał, potem por-

wał się i zawołał sięgając do próżnego kubka, który sobie nalać kazał.

— Wyjść i stłuc to na miazgę, a będzie spokojnie!

Borzywój nie mógł już milczeć dłużej.

— Miłościwy panie,—rzekł,—gdybyśmy ich nawet pobili, jeżeli sami rozpoczniemy wojnę, gdy oni porywać się nie śmieją, ściągniemy na siebie wszystko, co żyje i nie ujdzie nas ztąd ani noga.

— Nieprawda!—krzyknął Bolesław,—nie zwyciężają mnie i nie uczynią mi nic, imię moje popłoch sprawi! Pierzchną jak zające przedemną, gdy śmiało spadniemy im na karki. Nieprawda! Lud się naówczas ruszy, gdy zobaczy, że wojna ze zdrajcami rozpoczęta.

Borzywój chciał coś rzec, król zamknął mu usta; nie znoślił przeciwnieństwa, począł łajać i uragać, drużynę swą zwąc tchórzami, zdutnemi do kądzieli i spódnicy, lecz i o wycieczce zamilczał.

Nazajutrz, jakby się do wytrzymania oblężenia przygotowywano, wysłano w okolice po żywność i zapasy, król opatrywał wały, ostrokoły i bramy. Srogi był, gniewny, lecz czynny i rozgorączkowany. Borzywojowi już słowa sobie powiedzieć nie dawał i unikał z nim spotkania.

IV.

Upłynął rok cały.

Pomiędzy królem a krajem trwała ta wojna niekrwawa, milcząca, zacięta, w której nikt się do oręża nie śmiał porywać, ani go składał, a z obu stron walczone uporem, trzymając się na stanowisku.

Gromady snuły się, pod sam zamek podchodząc, rozkładając się u stóp jego; nieustraszony pan sie-

obudzał; zbrukana twarz, rozczochrane włosy, wzrok oszalały, spalone usta, drżące a okrwawione od powrozów ręce, podarta i owalana odzież. z pod której widać było piersi obnażone i wychudłe, nogi bez obuwia... cała wynędzniała postać osłabionego niewolę i męczarnią człowieka ledwie w nim dozwalały poznać owego Mścislawa, którego biskup znał dawniej pełnym życia, wesołym, ochoczym i zawsze dostatnio a pańsko występującym ziemianinem. I majętności i rycerskie sprawy stawiały go niegdyś na czele—dziś spadł na ostatni szczebel nędzy i boleści.

Wiedział biskup o jego uwięzieniu; znajdując go wolnym, ale z rękami skrupowanemi, posądził, iż się cudownym jakim sposobem z królewskiej dobył ciemnicy.

— Bóg niech będzie pochwalon!—rzekł.—Lecz jakżeś i przez kogo wolność odzyskał?

Mścislaw jeszcze odpowiedzieć nie mógł, dłońmi okrył twarz i czoło, wzdychał ciężko, głosu mu z piersi uciśniętej trudno dobyć było.

Jęczał długo i rzucał się, nim mu się odemknęły usta.

— On, on!—zawołał—puścić mnie kazał żywego, ubiwszy wprzód ze wszystkiem!.. Mordował mnie zanim precz wyrzucił. Sprowadził z więzienia, abym patrzył na to, jak go Krysta miłowała... a mnie się wypierała na wieki. Ale nie może to być—wybuchnął gwałtowniej. Nie!—Krysta chcąc mi życie ocalić kłamała umyślnie—kłamała. Nie—nie—siłą ją tylko trzyma, musi czynić, co każe—a niewierną po swej woli nie jest—nie!—nie!

Biskup z uśmiechem niewymownej litości, smutnie spojrział na niego, nie chcąc przeczyć temu, co dlań było pociechą jedyną.

— Dziecko moje nieszczęśliwe, — rzekł, — idź a spocznij i pomódl się, by cię Bóg pocieszył, a ja za ciebie modlić się będę;—pomódl się, aby ci Bóg zesłał natchnienie co masz czynić!

— Co?—zawołał, uderzając pięścią o ławę Mści-

slaw z gwałtownością, na którą resztę sił dobył z siebie.—Co?—mścić się! Mścić na nim!—Spocznę, byleby sił dobył! potem, jak stoję, pojedę między ród mój i ziemian, od dworu do dworu, pokazując im, co ze mnie łaska pańska uczyniła!—Niech znają i niech wiedzą, co ich czeka... Mnie dziś, — jutro im!—Mścić się—powtórzył jeszcze raz i osłabły pochylił się na ławę, bo wybuch ten ostatek siły wyczerpał.

— Ukój się, dziecko moje—rzekł biskup, biorąc go za głowę—ukój się. Nie ty, a sam Bóg się pomści za krzywdę twoją. Idź teraz i spoczywaj.

„Oczy twe ujrzą pomstę nad grzesznemi.”

To mówiąc biskup, którego ręce Mścislaw całował, przeżegnał go, jeszcze raz dłoń mu na rozpalonej położył głowie, i przywiódłszy do chwilowego uspokojenia, oddał klerykowi, aby go na spoczynek odprowadził.

Od kilku już tygodni biskup umyślnie unikał swojego katedralnego kościoła św. Wacława na zamku, mszy nawet świętej nie odprawując w nim, aby w podwórzu jadąc albo wracając z królem się nie spotykać i nie wywoływać zajścia jakiego. Nie obawa o siebie, ale chęć dania jeszcze królowi czasu do namysłu i ukorzenia się, powodowała biskupem.

Mszę swą ranną odprawiał albo w domowej kaplicy lub w małym tym kościółku św. Michała na Skalce, przy którym czasowo przebywał.

Dnia następnego jednak wypadła potrzeba znajdowania się w zamkowym kościele, a biskup spodziewał się uniknąć z królem spotkania, ufając w to, że Władysław, którego znał z pobożności i pokory, u boku króla się znajdował.

Zrana więc, wysławszy naprzód kleryka, aby rozpatrzył, co się na zamku działo, przygotował się biskup ze mszą do św. Wacława.

Gdy spytał o wczorajszego nocnego gościa swojego, powiedziano mu, że już go nie było. Zerwał

dział na grodzie swym i urągał się im królewską pychą, starym obyczajem, świetnym dworem. Z całego państwa pozostała mu posłuszną jedna ta góra Smocza, a z zastępów mnogich, tylko ta garść ludu, którą umiał do siebie przywiązać.

Dwie królowe pędziły dni w nieustannych lżach i trwodze. Niewiasty przynosiły im wieści straszne, o jakichś napaściach, zdradach, rzezi i zemście. Niejedną noc dwie panie przekleślały przed obrazami świętymi, modląc się i oczekując śmierci. Po kilkakroć młoda królowa na klęczkach namawiała Bolesława do ucieczki; król ze śmiechem przyjmował namowy i nie odpowiadał na nie.

Stara matka tylko milczała; ta, jak syn, nie chciała się dać wygnać i gotową była czekać na los, jaki ich mógł spotkać, nie ruszając się z zamku.

— My tu panami,—mówiła—król namaszczony i koronowany, nic mu uczynić nie mogą. Choćby poszli ztąd wszyscy, ja się nie ruszę, tu umrę—nikt mnie palcem tknąć nie będzie śmiało!

A gdy Wielisława tuląc syna, w imię dziecięcia się odzywała, nawet to nie poruszało babki: stawała zamyślona, pewna siebie, niezłamana i powtarzała:

— Róbcie wy, co chcecie, ja tu umrę, ja się nie ruszę.

Bolesław też zdawał się bodaj chcieć umrzeć na swym grodzie z koroną, niżeli ją dać wydrzeć sobie.

Druga wiosna (1080) nadchodziła. Zamek na Wawelu wyglądał jak gród długiem oblężeniem znękany. Na podwórcach jego trawa rosła, dla koni brakło paszy, dla ludzi strawy; z czeladzi coraz ktoś wymykał się i nie wracał. Pilnowano u wrót; nocą spuszczały się z ostrokołów na wały i znikali. Trwoga i niepokój ogarniały najśmielszych, lecz ktokolwiek odważył się szemrać, król strasznymi groźbami i przekleństwami usta mu zamykał. Niektórych sromotnie poprzybieranych w skórki zajęcze, z kądzie-

lami u pasa, na pośmiewisko z zamku kazał wypychać.

Połowa budowli na Wawelu pustką już stała, do stołów nie było przychodzić komu, do wesołości trudno było przymusić. Zaufani wysłańcy królewscy próżno nocami po osadach chodzili i przekradali się, próbując zaciągać lud do pułków królewskich. Strwożona czerń, panów swych widząc pod bronią, lękała się ich zemsty nad rodzinami i ruszyć nie śmiała. Potajemnie dawano królowi żywność i paszę, ale się go jawnie zapierano.

Pomimo tej trwogi król nie poprzestał, jak za dawnych czasów, jeździć na łowy, nakazując tylko pilno strzedz wrót i wałów; później dowiedziawszy się, iż czasu jego niebytności próbowano ubiedz Wawel, nawet tej rozrywki wyrzec się musiał.

Siedział lub leżał, najczęściej w izbie swej ze psami, czasem w oknie, z którego szeroki kraj i Wisłę widać było, całemi godzinami mruczał coś do siebie, rzucał się i przeklinał. Gdy kto z ludzi wszedł, wesołego udawał, a szczodrym był jak nigdy.

Z tej wesołości najmniejsza rzecz do wściekłości i gniewu go obudzić mogła. Naówczas z tych resztek ludzi, co przy nim pozostali, wybierał ofiary gniewu swojego: ścinał, wieszał, i nazajutrz postradanych żałował.

Jednego ranka, gdy na pół odziany jeszcze ze psy swojemi siedział, konia sobie kazawszy przywieść pod okno, aby się nań choć popatrzeć, wszedł Borzywój, który teraz podkomorzego przy królu sprawiał obowiązki i — po długim wahaniu, oznajmił iż ziemian kilku u wrót czeka, domagając się z królem rozmowy.

Zadumał się Bolesław — pierwszą myślą jego było kazać ich precz odegnąć; z niczem dobrem przyjść nie mogli. Już miał rozkaz na ustach, gdy zmienił postanowienie, i wołać ich kazał. Sam zaledwie się przyodziawszy poszedł do izby, w której dostojniejszych gości dawniej przyjmował.

Gdy się tu znalazł sam, mimowoli stanęła mu przed oczyma ostatnia bytność biskupa: zdało mu się widzieć tu jeszcze cień zabitego, grożącego karą niebios. Zachmurzony padł na swe siedzenie królewskie, oczy odwracając od tego miejsca, w którym zdało mu się widzieć widmo krwawe, z roztrzaskaną czaszką, pozywające na sąd Boży.

Wtem kroki się słyszeć dały; Borzywój prowadził za sobą Leliwę, Brzechwę i Kruka.

Dawniej nie tak oni do królewskiego zbliżali się majestatu. Dziś szli jak do obcego, któremu nie byli powinni, — wsunęli się powoli, nie skłonili głów nawet, u progu stanąwszy zdala, rozglądać się zdawali obojętnie.

Bolesław patrzył na nich oczyma nienawiści pełnemi, oni odpowiadali mu dziłkami wejrzeniami. Milczenie trwało dość długo.

— Myśmy tu przyszli — przemówił Leliwa, — bo czas coś stanowić; kraj się bez pana nie ostoi. Nim my was głodem weźmiemy, może upłynąć kilka miesięcy. Idźcie lepiej dobrowolnie ztąd, zanim my was wyżeniemy.

— Tak, idźcie sobie na Ruś, — pochwycił Kruk, albo i gdzie się wam spodoba, bo tu długo siedzieć nie będziecie — nie.

— Nas dosyć jest — dodał Brzechwa, — aby i zamek zdobyć i ludzi wyrzezać; nie muście nas do tego, nie czekajcie na to. My wam wolne wyjście dajemy.

— Węgier wam też sprzyja za dawne posługi, toć i do niego możecie — dodał Leliwa.

Milczał król, jakby nie słyszał. Nigdy nikt jeszcze do niego tak się mówić nie ośmielił. W serce mu miecz wraził temi słowy. Podparty na rękę, śmiał się.

— Jacyżście to miłościwi nademną! — krzyknął — wolne wyjście mi dajecie! wyl! mnie!

Nagle rozmowę przerwał, wstał i innym głosem zakrzyczał.

— Miłościwe pany, won a żywo! bo was jak psów powieszać każę!

Ziemianie wcale się nie uląkszy, popatrzeni na siebie i Leliwa odpowiedział spokojnie:

Powiesić nas pewnie możecie — myśmy o tem, idąc tu wiedzieli. Co z tego? my starzy, nie wielka nas szkoda, a do wieczora i kamień na kamieniu tu nie zostanie. Popatrzcie ilu nas tu do koła stoi? Nie chcemy krwi waszej, bo choć nam królem nie jesteś, aleś nim był. Puścimy cię ze wszystkim, co masz, kędy chcesz. Miłosierdzie czynimy.

Milczenie głucho nastąpiło; — Bolesław sam do siebie powtarzał.

— Miłosierdzie! oni, mnie miłosierdzie!

— A miłosierdzie — powtórzył stary Brzechwa, — łatwoby nam nielitościwymi być. Jest przy was może parę setek ludzi, u nas na tysiące miecze się liczą i takie, co dawniej wam służyły. Na pospólstwo rachowaliście — ale my się mu ruszyć nie damy. Zamilkli; król spuścił się na siedzenie i milczał także.

Zmiana jakaś dziwna, nagle zaszła w jego usposobieniu, gniew ustąpił goryczy.

— Cóżem ja wam uczynił? — zapytał.

Posłowie popatrzeni na się. Jeden drugiego do mówienia oczyma naglił, aż Kruk się ozwał.

— Od Kijowaście się zaczęli znęcać nad nami, niewiasty nasze sukami zwaliście, nas w niewolę chłopom dacieście chcieli, albo to mało? a krew biskupa?

Król rzucił się gniewnie znowu.

— Zdrajcą był! — krzyknął. — Spotkała go kara zasłużona.

— Gdyby nawet był nim, — przerwał Brzechwa, — a któż go nim uczynił? kto, jeśli nie wy?

Bolesław, jakby nie słuchając, patrzył w strop nad sobą.

— Chrześcijańskiemu narodowi panować nie możecie — dokończył Leliwa.

Miotał się czas jakiś Bolesław, zdając się z so-

bą walczyć, czy ich miał za zuchwalstwo karać; potem, niby zapominając o nich, odwrócił się ku oknu otwartemu i zapatrzył w dolinę.

— U podnóża Wawelu roilo się kupami ryccerstwo, ziemianie i zbrojne poczty. Gwar od nich aż tu dolatywał.

Posłowie, nie czekając odpowiedzi, widząc, że o nich zapomniął, poszeptawszy coś między sobą, zawrócili się i wychodzić poczęli. Król siedział, jakby wrósł w krzesło swoje, nieporuszony, nie dając żadnych rozkazów, nie zdając się zważać na wychodzących. Nie tknięci i nie zaczepieni przez nikogo przeszli przez szeregi stojącej drużyny i dworu, wiodących za niemi oczyma i bezpiecznie do wrót się dostali. Straż ich wypuściła.

Jeszcze król nie wstał z siedzenia, gdy królowa Wielisława z synem przybiegła, i rzuciła mu się do nóg z płaczem, błagając, aby siebie i dziecię swe od zagłady ratował. Zamek otaczały, naciskały tłumy coraz groźniej.

Bolesław nie spojrział nawet ani na nią, ani na dziecko swe, porwał się z siedzenia nagle, i uprzykrzonego unikając widoku, wyszedł nagle.

W istocie dnia tego obozowisko Wawel otaczające poruszone było, zwiększało się coraz i zdawało gotować do jakiegoś stanowczego kroku. W kilkaset ludzi ani się bronić długo, ani obronić było podobna tłumom, nie mając żadnej odsieczy nadziei. Bolesław sam szedł na wały, patrzył długo, dumnie i wrócił krokiem wolnym do izby. Zawołano Borzywoja, skarbnych i pułkowodzców. Król stał blade, z wyrazem hamowanego gniewu i złości na czo-le pofałdowanym.

— Skarbiec mój na wozy ładować. Ludzie niech będą w pogotowiu do jednego. Nie jeden Kraków dla mnie na świecie. Wyjdę ztąd z garścią, a wrócę z tysiącami, ale biada tym, których tu zastanę!!

Natychmiast starszyna poczęła wydawać do drogi rozkazy, które wszystkim były pożądane.

Rzucili się ludzie ochotnie.

Dnia tego widać było tylko ładowane wozy, ściągane sakwy, konie, które sposobiono, zamęt, który podróż poprzedza.

Król z izby się nie ruszył, nie spojrział, nie spytał o nic, pytających precz odganiał; leżał odrętwiały, psy kośćmi drażniąc i śmiejąc się, gdy go gryzły. Gwar ogromnego tłumy, który chwilami wiatr otwartymi przynosił oknami, nie zdawał się go obchodzić.

Cała ta noc zeszła przy pochodniach na przyspieszonych przygotowaniach. W mieszkaniu dwóch królowych, niewiasty płacząc, odzierały opony, chowały sprzęty, biegały wylękłe, z rąk wypuszczając bezsilnych, co która chwyciła. Wielisława tuliła syna. Mieszko dopytywał, niemal wesół, dokąd jadą?

Stara Dobrogniewa jak pierwszej rzekła, tak strzymała;—ona, ani jej dwór, nie myśleli z zamku wychodzić. Ochmistrzowi swemu rzekła niewiasta surowa:

— Niech sobie idzie, kto chce, a ja tu zostanę. Królową jestem i mam prawo tu być, tu będę mieszkała i tu umrę. Niech ucieka, kto chce — ja zostanę!

Próżno prosiła ją synowa, błagał Mieszko. Pogłaskała go po włosach miękkich, pocałowała w czoło, dwie łzy się jej puściły i rzekła:

— Idźcie wszyscy, ktoś przecie zostać musi, aby ród królewski nie zginął cały i nie ustąpił miejsca... Niech mnie wypędzą, zobaczymy, czy będą śmieli, lub niech mnie zabiją—ja zostanę!

Powiedziano o tem królowi, posłuchał i nie rzekł nic. Nie myślał się jej sprzeciwić. Wieczorem poszedł sam do niej.

Spojrzała nań Dobrogniewa.

— Idź, panie mój, — rzekła — wam trzeba iść pomocy u ludzi szukać, ja starych kości wlec nie

myśle po szerokim białym świecie. Ja na was tu będę czekała. Tu zostanę.

I jakby dla nadania sobie samej siły, Dobrogniewa powtarzała ciągle:

— Zostanę tu!

Nazajutrz jak świt wszystko było na nogach, zamek stał odarty i opustoszały... podwórca pełne jak nabite, ludem się roiły.

Gdy królowę z Mieszkciem wyprowadzono do wozów, które iść miały w pośrodku, stara Dobrogniewa, którą dwóch jej wiernych komorników pod ręce prowadziło, wyszła ze złotym obrazem w rękę, z dwoma łez strumieniami w oczach, kazała się trzymać ludziom, i drżące ręce podniósłszy do góry z obrazem, odjeżdżających błogosławiła.

Naprzód jechał sam król na siwej orlicy pod złotą deką, we zbroi pozłocistej, w płaszczu królewskim, z łańcuchem na szyi, z pasem kamieniami sadzonym, ubrany jak zwycięzca, w hełmie z koroną... Na białej twarzy dumę widać było i wzgardę — żadnej skruchy i upokorzenia. Patrzył z góry i grozić się zdał.

— Powrócę!

Za nim jechali zbrojni, obwieszeni łukami, żelazem, mieczami, Boleszczyce, drużyna, dwór, czeladź, żołnierze, między siebie wzięwszy długi szereg wozów ładowanych skarbami, koni powodnych, psów myśliwskich i sokołów. Na wozach płachtami poosłaniane jechały, zawodząc, niewiasty, dzieci, chorzy.

Ani się obejrzał król, opuszczając zameczysko, oczyma dumnie mierzył przed się. U boku jego powiewała chorągiew, niesiono miecze, szli z rogami ci, co ludziom niemi rozkazy dawać mieli.

Gromadka wiernych Boleszczyców, z dobytymi mieczami, stąpała w ślad za panem. I oni także rodziny, domy, ziemię swą, wszystko rzucali, dochowując ślubowanej wiary, wiedząc, że albo głowy za nią dać będą musieli, lub długie lata cierpieć na wygnaniu wśród obcych i w poniewierce. Na twa-

rzach z bólem widać było żelazne męztwo złęczone. Drgnął czasem który, słysząc za sobą płacz niewiast i kwilenie dzieci, i wnet się krzepił, aby sercu nie dać mięknąć.

Gdy wszystko to wyciągnęło z podwórców, zamek pozostał pustym; kilku ludzi z Dobrogniewą, a u bramy jeden starzec powietrzem tknięty, co sobą nie władał, zostali załogą.

Orszak wysunął się za wrota, które otworem rzucono, i postępował poważnie, wyciągając się powoli. U podnóża góry przez ściśnięte tłumy ziemian zdało się trudnem przerznąć, nie dobywając oręża. Spojrzeli po sobie ludzie, ażali ich umyślnie nie wiedziono w pole. Lecz król przodem jadący ze swemi, drogę sobie łatwo torował.

Zdała już rozstępowali mu się w milczeniu ziemianie, jak przed pogrzebem, idąc z gościńca.

Nikt szłyka nie podniósł, ale nikt nie rzekł niezdarnego słowa, ani śmiał nieszczęściu uragać. Patrano na się z równą dumą, król na nich, oni na tego, co był ich królem.

Milczenie jakieś straszne zalegało dokoła; nie mruknął nikt, nie odezwał się, nie poruszył. Gdy wozy królowej i płaczące nadciągały niewiasty, chmurniały twarze; puszczone, nie żegnając.

Rodziny Boleszczyców, Jastrzębce, Drużyny, Śreniawy, gdy je mijał orszak królewski nie dały znaku swoim braciom, nie obejrzały się ku nim. Szli wierni słudzy na wygnanie, zaparci przez swoich:—żadna się do nich dłoń nie wyciągnęła.

Dopiero w dali za orszakiem króla, który zwolna za Wisłę się przeprawiał, szmer zaczął powstawać, rosnać, wrzawa się zrywać zaczynała.

Leliwa i Brzechwa chcieli zaraz pusty zamek zajmować, drudzy go pustym zostawić chcieli, dopóki nowego króla nie było i kościelna kłątwa z ziemi i grodu nie została zdjęta.

Wtem wśród narady nadszedł ktoś z doniesieniem, iż stara królowa matka z killkorgiem czeladzi

pozostała na zamku i ustępować z niego nie myślała. Starszyzna zdumiała się jej mężstwu, lecz je poszanowała. Posłano wnet do Dobrogniewy, zapewniając ją, iż bezpiecznie pozostać może, a o potrzebach jej staranie mieć będą starsi. Dowiedziawszy się o niej na zamku, tem już mniej zajmować go myślano, porzucono go, jak był pustką i ruiną.

W obozie ziemian dnia tego wesele było wielkie, jak z odniesionego zwycięstwa. Dzień jeden stali wszyscy, aby się upewnić, że król nie powróci, naradzić, co czynić dalej, rozesłano posłańców do biskupów, do żupanów po zamkach i grodach, a drugiego dnia groźne owe zbiorowisko od podnóża Wawelu, rozbiegać się, rozjeżdżać i rozchodzić zaczęło.

Tegoż samego dnia, gdy król z krakowskiego zamku wyciągał, na mogiłki w Górze wieziono, czarnemi wołami zaprzężonym wozem, trumnę przy której nie szedł nikt, tylko matka stara, zestarzały nagle Mścisław, mąż Krysty i płaczki najęte.

Szalona niewiasta, rok przeżywszy naprzemiany we łzach, obłakaniu, śpiewach, snach i boleściach, jednego ranka, marząc o lepszym świecie już się nie zbudziła. Matka ją w gźło białe odziała, płacząc, do trumny, mąż narzucił kwiatami, wywieźli na wzgórze, i w żółtym piasku pochowali.

V.

EPILOG.

Znowu upłynął rok i była wiosna, nie ta, co się budzi, leniwa, senna, drzemiąca, jakby się jej na świat nie chciało, ale spóźniona, śpiesząca się, której pilno zmieść zapomniane śniegi, połamać lody, wyzwolić ziemię, rozwiązać pączki zamknięte i życia otworzyć wrota.

Długo na nią ludzie oczekiwali, lecz przychodziła teraz zdyszana i robiła cuda. Gdzie wczoraj jeszcze skorupy leżały brudne, dziś już tryskała zieloność, drzewa rozwijały liście, potoki wezbrane leciały z gór, unosząc z sobą ogromne suchych drzew kłody i kamienie obłamane. Nigdzie może piękniej i groźniej z całą wszechmocnością swą nie występowała wiosna, jak w tych górach, lasami okrytych, które otaczają benedyktyński klasztor w Ossiahu.

Tu ojciec Otton, który po wygnaniu go z zamku krakowskiego, zrazu się udał do Mogiły, z rozkazu zwierzchności swej przeniósł się dokonać żywota. Rok już przeszło staruszek wśród nowej znajdował się braci. Przyniósł z sobą mały węzełek swój, deski i farby, chcąc i tu na chwałę Bożą pracować, malując, ale i wiek i trud i lży może wzrok mu nadwątliły. To co stanowiło największą rozkosz ci-

chego żywota, praca około obrazków świętych stała się niepodobieństwem, widział mało, mgłą zachodziły źrenice.

Znać Pan Bóg żądał odeń ofiary tej. O. Otton poddawszy się z pokorą woli Pana, rzekł:

— Stań się moja Twoja, i przełożonego ucałowawszy w rękę, prosił go o inne zajęcie.

Niegdyś czytał był wiele ksiąg lekarskich, znał zioła, przy klasztorze była mała apteka, przyszło mu na myśl, iż około niej chodząc, mógł być jeszcze użytecznym.

Skromnie i pokornie poddał to przełożonemu, który ochotnie się zgodził, aby O. Otton zajął się zbieraniem ziół i przygotowaniem smarowań, maści i wód, jakich natenczas medycyna używała. Stało się to wielką dla staruszka pociechą, gdy nowe znalazł zajęcie. Modlitwa żywiła ducha jego, ale sama reguła zakonu i charakter jego wymagał czynnego zatrudnienia życia. To było znalezione, i O. Otton prawie oczów swych i malarstwa nie żałował.

Już jesienią rozpoczął przechadzki po górach, szukając ziół, o których cudownych własnościach miał wiadomości, lecz jesień ledwie go zaopatrzyła w korzonki roślin, — kwiatów musiał czekać do wiosny. Najskuteczniejsze liście młode, pączki, kwiecie dać mu dopiero miała ta pora roku, co nowe soki wlewa w martwe i uśpione istoty.

O. Otton oczekiwał jej jak wybawienia z zimowej niewoli, — a w tym roku później jakoś niż zwykle przychodziła. Góry długo stały śniegiem okryte, lasy szronem osypane, ziemia obleczona zmarzłymi skorupami, słońce się nie ukazywało, wiatr z południa nie zwiastował zmiany. Ale ptastwo wędrowne już górą ciągnąć zaczynało, o południu czasem tajały na dachach śniegi, a jednego dnia rozdarły się zasłony płowe, i wesołym blaskiem oblała okolica. Wiatr już wiał z południa.

Naówczas w mgnieniu oka prawie, jak to bywa w północnych krajach, dokonała się metamorfoza

świata. Zima co już się zdawała wieczną, nie przeżyła jednego dnia słonecznego. Poruszyło się w górach wszystko, spadły deszcze, powiały wiatry gorące, topniały śniegi w oczach i strumienie, których wczoraj nie było, dziś się stały groźnymi rzekami. O. Otton patrzył na to przez okienko swej celi i radowała się dusza jego... miały mu zakwitnąć pierwiosnki, miały pęknąć pączki brzoźowe, leśne bogactwa dla niego się rozwijały.

Nigdy dzieło Bożej ręki cudowniejszem mu się nie wydawało... To budzenie się do życia całej natury, lzy zachwyty wywoływało mu na oczy. Cudem zdawało mu się wszystko, choć tyle ich widział i pamiętał. Zdało mu się, że żadna jeszcze taką jak ta nie była.

Drugiego dnia stała się zieloność na łąkach w górach, trzeciego ponabierały pączki i przyleciały niespokojne jaskółki lepić gniazda, bociany chodziły po nad strumieniami, dzikich gęsi wily się sznury spóźnione, i żorawie klekotały gdzieś, lecąc pod obłokami wysoko.

Nawet w spokojnym Ossiackim klasztorze, którego życie latem i zimą jedno było, wiosna przyniosła wesele i głośniejsze chóry nocne zakonników chwalebne nuciły Bożą. Dla wielu z nich jak dla O. Ottona pora ta zwiastowała także pracę w polu, ogrodzie, około budowli, od której odpędziła zima. Radowali się wszyscy, bo praca nie kara Bożą, ale darem najdroższym Opatrzności, osładzającym życie.

Jednego dnia tej wiosny tak szybko nadciągała i wesoła, O. Otton z kijem w rękę, z nożem w kieszeni, z koszyczkiem, w którym był kawałek chleba i sera, wychodził już, za pozwoleniem przełożonego, z furty klasztornej na cały dzień na łowy lekarskie, po zioła, pączki, korzonki i co las a góry dać mogły. Śmiała mu się pomarszczona twarz z pod czarnej czapeczki, która całą głowę i uszy zakrywała. Już miał wynieść, gdy O. Augustyn, przełożony, zjawił się we drzwiach klasztornych i wi-

dząc go w progę, rzuciwszy okiem na to, co koszyczek zawierał, ozwał się dość łagodnie.

— A wzięliście, ojciec Ottonie, choć małą flaszkę wina, abyście mieli się czem pokrzepić. W waszym wieku niezbędnie to potrzebne, reguła pozwala, zdrowie wymaga.

O. Otton potrząsał głową.

— A woda? z tych kryształowych źródeł górskich, nie jest że to najzdrowszy z napojów?

— Przyda się do niej dla was choć kropla wina—dodał O. Augustyn.

I skinąwszy na przechodzącego braciszka, kazał mu z refektarza przynieść małą flaszkę wina, którą pod posłuszeństwem wziąć polecił, aby od wody staruszek febry, na wiosnę częstej, nie chwycił.

O. Otton podziękował, choć mu się to wcale potrzebnem nie wydawało. Przełożony wesoło życzył mu szczęścia, zalecił ostrożność i tak go w góry wyprowadził. Wyszedł staruszek, powoli krocząc i rozpatrując się po świecie.

Dzień był prześliczny, dzień złocisty, na niebiosach świąteczny, na ziemi radosny, a O. Otton modląc się, Bogu zań dziękował. Piękniejszego na podróż w góry wybrać było niepodobna. Powietrze nie gorące nie chłodne, żywiło nie osłabiało, wiatr chodził ostrożny, aby się nie naprzykrzył nikomu, promienie słoneczne nie dopiekały, a wśród ciszy pozornej, brzmiały chóry pieśni, gdy się ucho wsłuchiło w nie. Śpiewała pszczoła pieśń miodową, szezebiotała jaskółka gniazdkową, skowronek rolniczą, bocian satyryczną, a strumień, stary plotkarz, bełkotał trzy po trzy nowiny, które niósł do morza. I nie było ludzi do koła, ani ich gwaru, ni swaru ni troski, ni śmiechu straszniejszego czasem, niż płacz sam.

Staruszek znał już wszystkie ścieżyny w góry i lasy... Były one zaledwie dojrzone dla innych, dla niego znaczne bardzo, a choć się pięć było trze-

ba po nich, z pomocą kija, powoli idąc, oddychając, O. Otton dostawał się na najwyższe wierzchołki.

Na tych to wyżynach rosły i kwitły kwiaty, których doliny nie miały, a stanąwszy na górze, cóż to za widok u stóp staruszka się roztaczał! Oczu jego, co na książkę z trudnością czytały, skutkiem popsucia swojego, w dal sięgały wielką i dopatrywały czego pospolitego człowieka wzrok nie mógł zobaczyć. Tam stały szeregami wierzchołki białe, szare, sine, zielone, gór piętrzących się ku niebu; po których szczytach czepiały się chmury jak dymy, bliżej zieleniały całe boki wzgórzów, lasami przyodziane, majowymi łąkami poprzecinane, a gdzieś gdzie wśród drzew bieląły i złociły się, szarzały i czerwieniały jak odrąbane skały ściany, po których leciały w pół pianą okryte strumienie. Na te obrazy pięknego górskiego świata Bożego, O. Otton czasem się zapatrywał aż — do grzechu! Wyrzucał sobie nawet to rozmyślanie się w pięknościach znikomego świata, choć tłómaczył sobie, że w niem było i uwielbienie wszechmocności Boga. Gdy patrzył, łzy mu płynęły jakieś, z nieznanego źródła, i były niemal modlitwą.

Cóż gdy na ten krajobraz bez końca, którego skrajów nie mogło dosięgnąć oko, padły cienie od chmur i promienie słońca, czyniąc sobie igraszkę jakby z gór jasnych, które czyniły ciemnymi, czarnymi, które okrywały blaski złotymi. Wówczas świat ten ożywiał się, mienił, dyszeć się zdawał i przechodzić jakieś dzieje rozkoszy i boleści. Całunem mgły osnuwała się góra i stała jak wdowa w żałobie, a drugie uragały się jej purpurą i złotem. To znowu z między dwu chmur strzelał promień długi, niby oszczep złożony, przerzywał lasy, ubierał skały i odkrywał kątki rozkoszne, jak ogródki, które wprzód ciemność światu kradła. Jak łaska z niebios, zstępowała jasność na lasy i widać je było z najdrobniejszymi gałązki, jakby z brązu odlane, na tłach sinych dalekich gór. Chwila tylko, chmura tylko, —

wnet co się pyszniło, już znikło, co nie żyło, wstało do życia...

O. Otton, gdy się nakarmił widokami temi, gdy się w piersi nabił za to, że się zbyt niemi rozkoszował, szedł i zbierał już pilnie zioła.

Tego dnia stała się rzecz dziwna z nim, oto dał się słabostce małej uwieść i zapomniał o celu wycieczki.

Równie jak roślin, O. Otton ciekaw był i stworzeń Bożych, ptastwa, zwierząt, motylów nawet i muszek. Zaledwie wszedł w las, ścieżyną sobie znajomą, na gałęzi drzewa postrzegł ptaka, którego nie widział w życiu. Zdawało mu się, że to być musiał przybysz z obcych krajów, może wędrowiec, który tylko w drodze spoczywał. Ptak był kształtny, ale szczególnie pióra jego wdzięczną barwę miały, skrzydła zdobiły niebieskie wyłogi jasne, blade lazurowe... O. Otto nigdy w lesie podobnego nie spotkał ptaka. Chciał mu się przypatrzeć zbliska, podchodził ostrożnie, ale ptak dawszy się zbliżyć do siebie, unosił się nieco dalej i o kilka kroków przysiadł znowu.

O. Otton podchodził ostrożnie bardzo, po cichu, kryjąc się za gałęzmi, lecz zaledwie przystąpił nieco, nieboskrzydły zlatywał z gałęzi, często niedaleko sobie obierając nową, na której siedząc, to piórka poprawiał, to dzióbek czyścił o drzewo, to nóżkę jedną podnosił i skrobał się nią. Zdawał się nie lękać wcale przechodzącego, ale nie życząc sobie, aby mu się przypatrywał zbyt blisko, porywał się i leciał dalej, zawsze w jednym kierunku, — w głąb lasu. Ani się spostrzegł O. Otton, gdy za ptaszyzną zaszedł tak daleko, że gdy się obejrzał za siebie, tuż przez pnie drzew, sinych w dali gór widać nie było.

Znając doskonale okolicę, bynajmniej się tem nie strwożył; postanowił się ciekawemu ptakowi przypatrzeć i szedł dalej jeszcze. Tu już gąszcz leśna zaczynała być coraz mniej dostępną, ścieżynka nawet pod stopami niknęła, a zastępowała ją wy-

ryta wodami w ziemi rozpadlina, którą reszta zbiegających z wierchołków wód spadała w dolinę...

Dziko było i samotnie; wśród drzew zielonych, przebijały się już ciemne gałęzie jodeł starych, a gdzieś tam obnażone ich pnie, jak ogromne słupy. Na drodze leżały w poprzek na pół zgniłe kłody, susz obłamana wiatrami jesiennymi, ślizgie mchy i na pół przegniłe liści kupy.

Ptak, który ciągle był na widoku, znikł gdzieś w czarnych tych powieszanych ku dołowi, ciężkich świrków konarach; droga stawała się ciężką nie do przebycia, starcowi brakło tchu, obejrzał się nareszcie, czy gdzie nie znajdzie kłody, na którejby mógł przysiąść i spocząć.

W lesie panowała uroczysta cisza świątyni, ani listek się nie poruszał, zaledwie bliżej podlatujących muszek brzęczenie chwytalo ucho. Podeszedłszy jeszcze kilka kroków, O. Otton znalazł obalony pień wyróconego drzewa, na którym jeśli nie usiąść, mógł się zeprzeć przynajmniej. Pot biegł mu z czoła. Chwilę tu pozostawszy i oglądając się, czy którejś górskich roślin, potrzebnych mu, nie odkryje — nagle usłyszał dźwięk jakiś dziwny, niezrozumiały, dla którego i o ptaku i o kwiatkach zapomniał.

Wśród milczenia puszczy, nieopodal gdzieś słychać było niby jęk, niby oddech ciężki, — z piersi, jakby ludzkiej się dobywający. Mogło to być sapanie dzikiego zwierzęcia? Nie. O. Ottonowi razem z tym głosem przyszło poczucie, że jakiś człowiek nieszczęśliwy wydawać go musiał. Takim westchnieniem z głębi piersi nie dysze zwierze żadne.

Wnet ustąpiło znużenie właśnie, a że obawy nigdy na chwilę nie miał staruszek, ruszył się więc żywo, posiłkując kijem swoim ku górze, idąc na to stękanie, które coraz bliższemu mu się być zdawało. Oczyma naokoło szukał i podpatrywał z kąda głos mógł wychodzić.

Przed nim stał ogromny dąb stary, którego cień i korzenie rozpuszczone szeroko, żadnym zaro-

słom dokoła puścić się nie dawały. Maleńka trawka i mchy okrywały jego podnóże. Tu u pnia dostrzegł Otton leżącego człowieka, u którego nóg leżał jeden pies jak zdechły, drugi dogorywać się zdawał. Sam człek, gdyby nie ciężki oddech, co mu się z piersi wyrывał, za trupa mógł być wzięty. Nie poruszał się wcale. Głowę miał na zgiętem ręku opartą, zwróconą ku górze, bladą, z zamkniętymi oczyma, usta otwartymi. Włos obfity rozkładał się około niej w nieładzie. Na sobie miał suknię ciemną, i płaszcz, który podesłał na ziemi, u boku miecz w pochwie. Obok leżał piękny rogowy łuk i oszczep. Z ubioru i twarzy poznać było można możnego pana, który albo się zbłąkał na łowach, lub ranny, sam jeden, legł nie widząc już dla siebie żadnego ratunku. Na sznurze, który przewieszony był przez plecy, mnich dostrzegł róg mały, w kawałki zdruzgotany. Tłumaczyło to poniekąd, że nikogo do siebie przywołać nie mógł.

Na widok tego nieszczęśliwego, O. Otton zrazu się żywo poruszył; pies który u nóg pana konał, podniósł głowę nieco, spojrzał nań oczyma, jakby wzywającemi ratunku, i padł bezsilny. Z oczyma wlepionemi w twarz tę bladą pośpieszał zakonnik, gdy nagle podszedłszy bliżej, a wpatrzywszy się w nieznajomego, jak osłupiały stanął. Oparł się o drzewo, zdając wahać już, czy iść miał dalej. Oczu nie spuszczał z leżącego, a na twarzy jego malowała się walka wewnętrzna. Wreszcie złożył ręce jak do modlitwy, podniósł oczy ku niebu, i za mu się pod powieką zakręciła—i, jakby przemógłszy przeszkodę jakąś, szybszym krokiem przybliżył się do nieszczęśliwego, który ani szmeru rozgarnianych gałęzi, ani chodu nie zdawał się słyszeć. Leżał tak, konać się zdając, mąż ogromnej i silnej postawy, złamany cierpieniem jakimś i walczący z pozostałą życia odrobiną przeciw zbliżającej się śmierci. Strasznie blade miał lice, sfałdowane czoło, a dokoła ust ból ściągnął policzki i nadał mu wyraz męczeński. A je-

dnak, mimo tej męki widać w nim było niezłamaną jeszcze dumę i jakby urąganie się cierpieniu.

O. Otton, złożywszy kij swój i koszyczek, podszedł i przyklęknął przy nim. Wierny pies leżący u nóg jęknął dziwnie... O. Otton zlekka przyłożył rękę do czoła zemdlątemu.

Zaledwie ona spoczęła na niem, gdy całe ciało zadrgało, głowa się poruszyła, otwarły oczy czarne i widać było usiłowanie zdretniałego, aby się porwać z ziemi. Sił nie miał;—motał się w miejscu, obłąkanym wzrokiem, przestrachu jakiegoś pełnym, wpatrując się w staruszkę... Rysy twarzy malowały zdumienie i niedowierzanie; czekać się zdawał na to, ażeby mnich doń przemówił.

O. Otton nie rzekł słowa, ręką tylko badał ciało, a widząc osłabienie, którego głód i znużenie mogło być przyczyną, — zawrócił się ku koszyczkowi swojemu. Szczęściem leżała w nim owa mała flaszcza wina, którą mu ojciec Augustyn na drogę narzucił. Dobył ją, dziękując Bogu, i pośpieszył do ust przyłożyć wycieńczonemu, który jeszcze poruszyć się nie mógł. Ostrożnie po kilka kropel wlewał mu w zaschłe wargi, i natychmiast prawie życie wracać zaczęło. Głowa się dźwignęła pierwsza, ręka rozprostowała, i myśliwiec siadł zwolna, opierając się o pień, który miał za sobą. Żrenice jego ani na chwilę nie schodziły z tego, co go ratował.

Mówić, czy nie mógł, czy nie chciał jeszcze... Gdy po raz drugi czy trzeci O. Otton flaszczykę swą do ust mu przyłożył, oczy się jego zapaliły, drgnął i ręką odpychając go zlekka, wołać począł głosem ochrypłym:

— Klecha jadem poi! klecha...

Nic nie odpowiadając na to O. Otton, potrząsał tylko głową smutnie.

— Znasz ty mnie? — odezwał się głośniejszym głosem.

Na to pytanie O. Otton nie rychło się zebrał na odpowiedź, głowę spuścił, zamyślił się, blada jego

twarz oblewała się jakby dziewiczym rumieńcem, gwałt widocznie zadawał sobie,—i rzekł cicho:

— Nie.

Nieznajomy zdumiał się i patrzył nań, brwi marszcząc. Zwolna oczy jego zeszyły z mnicha i błądzić poczęły dokoła po lesie, padły na psy, potem się potoczyły po drzewach i okolicy.

— Nie znasz mnie!—rzekł, jakby sam do siebie — a pociśnij mnie do życia oczu! Klecho! chcesz, abym męczył się dłużej... Wszyscyście tacy, przez miłosierdzie męczyciele!

Wtem oko jego padło na róg wiszący u boku, wziął go w rękę. Był to złamek już tylko, który nie mógł wydać głosu, odrzucił go wprędce. Pragnienie go paliło—głód dokuczał i zapomniawszy się, ręce obie wyciągnął do flaszeczki, którą mnich trzymał przed nim, chwycił ją, a raczej wyrwał, nachylił i nie dając jej sobie odebrać, wypił do dna, potem z pogardą i sztychaniem rzucił precz w krzaki, dziko się śmiejąc.

Na wycieńczonym człowieku napój w mgnieniu oka skutkować począł, oczy zajaśniały, twarz zadrżała, lice poczynęło się rumienić. O. Otton z początku z przestachem na to patrzył, potem z radością; życie jeszcze niewyczerpane powracało.

Mnich chociaż sam głód czuć poczynął, zwrócił się do koszyczka, przypomniał sobie chleb i ser, który miał z sobą. Na widok jadła, myśliwiec przebiegał się cały ku niemu, i znowu dłonie wyciągał niecierpliwie. Nie zostawując nic dla siebie, mnich oddawał, co miał.

Ze zwierzęcą chciwością rzucił się na chleb wygłodniały; nie patrzył na księdza, cały w sobie zatopiony, jadł żarłocznie i śmiał się. Raz na żywego jeszcze psa spojrzął, jakby z nim podzielić chciał strawę, lecz głód przemógł—pożerał, nie oglądając się więcej.

Życie wracało coraz widoczniej, poruszał się swobodniej. Uradowany dziełem swoim, O. Otton

pomyślał, że woda świeża byłaby pożądaną dla głodem zgorączkowanego człowieka, poszedł więc po flaszkę leżącą w krzakach, która szczęściem nie rozbiła się całkiem, wyszukał ją i spuścił się ku strumykowi z gór bieżącemu, aby w nim wody zaczerpnąć.

Uradowany, niosąc ją, wrócił ze świeżym napojem do myśliwca, który nie mówiąc nic, wodę chwycił i wypił. — Po pierwszych słów wymianie nie mówili do siebie. Nieznajomy człek zadumał się głęboko, potem popatrzył na O. Ottona i powtórzył mu pytanie...

— Znasz ty mnie?

Rumieniec oblał znowu twarz mnicha, który głową potrząsnął tylko, nie mówiąc nic.

— Weź twój kij—począł myśliwiec — weź koszyk i idź, idź—idź! Widzisz, miecz mam u boku, zabiję cię. Zabiję cię dla sukni, którą nosisz, dla tego, żeś mi życie przywrócił, że klechów cierpieć nie mogę, że potrzebuję krwi... Idź—zabiję!

O. Otton nie poruszył się z miejsca, a myśliwiec mówił, mruczając sam do siebie.

— Wszyscy tacy! Nie ustąpi żaden... węże zjadliwe, od których ukąszenia człowiek umiera...

Nogą kopnął, jakby chciał potrącić mnicha, który z głową spuszczoną, z rękami złożonemi, zdawał się modlić po cichu...

— Psy pozdychały—a ja nie mogłem! — odezwał się myśliwy. — Trzy dni, dwie noce i śmierć nie przyszła...

O. Otton zwrócił ku niemu oczy.

— Bóg miłosierny chce ci dać życie, abys się do niego zbliżył, pokutował i umarł rozgrzeszony...

Te słowa jak piorun podziały na myśliwca; chciał się zerwać z ziemi.

— Kłamco! znasz mnie! — krzyknął chwytając za miecz — znasz! Kto cię tu przysłał?

— Pan Bóg — odparł mnich spokojnie.

Siedzący pod drzewem nie odpowiedział, ręką dał mu znak, aby precz szedł, — lecz O. Otton się

się on do dnia i uszedł, nie opowiadając, co pocznie z sobą.

Ranek był piękny i pogodny, około zamku ludu gwarnego mnogo już się kręciło. Od wrót zamkowych w odległości niewielkiej, stał szczupły jeszcze naówczas, z ciosowego kamienia, z kryptą pod nim, kościółek napozór skromny, ale wewnątrz przyozdobiony bogato. Poprzednicy biskupa i on sam o zaopatrzenie go i zasoby dlań się starali.

W pomoc do posług duchownych przychodzili ks. Stanisławowi ze Szczepanowa Benedyktyni z Tyńca i nie wielka liczba duchownych, których on sam kształcić się starał.

Chociaż Bolesław rzadko zaglądał do kościoła swego, biskup z obawy, aby swawolni ludzie jego, z których wielu na pół pogan było, nie zakłócili nabożeństwa, natychmiast, do kościoła wszedłszy, drzwi główne zamknąć i zaryglować przykazał... Sam udał się do zakrystyi i po krótkiej modlitwie, ubrany jak do świętej ofiary, wyszedł przed ołtarz główny!

Cisza panowała w niewielkiej świątyni, w której tylko kilku duchownych i kleryków i kilku ludzi z miasta się znajdowało.

Msza zaledwie dochodziła do zaofiarowania, gdy przed kościołem dał się słyszeć hałas, wrzawa i śmiechy.

Trwało to czas jakiś. Nagle uderzono we drzwi kościelne. Ponieważ z rozkazu biskupa zawarte były, nikt się ich otwierać nie ośmielał; szła dalej ofiara święta nieprzerwanie.

Wtem bić zaczęto we drzwi coraz gwałtowniej, aż się okna zatrzęsły; — strach ogarnął duchownych.

To zuchwałe dobijanie się nie mogło być dziełem samowolnem prostych ludzi, którzyby się nie wazyli wśród białego dnia takiej zniewagi uczynić kościołowi, szturmując doń, jak do gospody. Po za temi, co tłukli tak gwałtownie we wrota, można się było domyślać króla chyba, i jego rozkazów.

Biskup, gdyby był nawet chciał, żadnego roz-

kazu wśród ofiary dać nie mógł choćby mu największe groziło niebezpieczeństwo. Surowy w zachowywaniu wszystkiego, co do kościelnych należało obrzędów, duchem ulatywał wyżej nad to, co go otaczało. Nie ruszył się więc on i nikt drgnąć nie śmiał, a dobijanie się coraz gwałtowniejsze trwało ciągle.

Znużeni biciem spoczywali mało i wracali z wściekłością podwojoną.

W końcu po chwili takiej odpoczynku, która zdawała się opamiętaniem, gdy sądzono, że napastnicy się oddalili, usłyszeli księży z przerażeniem, iż dragami podwalano, siekierami łupano i wyważano drzwi kościelne.

Biskup miał właśnie poświęconą Hostję podnieść, gdy pękły wrzeczydże, połowa wrót kościelnych z ogromnym hukiem padła na ziemię — i tłum z hałasem do kościoła się wtoczył.

Na czele jego szedł sam król, z ręką na mieczu, w postawie zwycięzcy, za nim postępowali bledzi Boleszczyce i dwornia pańska.

Wtargnąwszy tak gwałtem do kościoła, jakby szturmem wziętego, posunęli się całą gromadą naprzód i przybliżywszy niemal pod sam ołtarz, przy którym biskup mszę świętą odprawiał, — stanęli, króla otaczając kołem szerokiemi.

Bolesław wyzywająco zajął miejsce naprzeciw biskupa samego i — stał, spoglądając dumnie.

Gdy obrzęd zmuszał celebrującego odwracać się do ludu i ukazać mu oblicze, mógł król dostrzedz, iż na niem ani śladu strachu, ani nawet pomieszanina nie było. Błada, poważna, surowa, rozżalona twarz biskupa więcej znamionowała siły i wiary w siebie, niż zapłomieniona, namiętna, niespokojna Bolesława. Mniemane to zwycięstwo i wdarcie się do kościoła było raczej słabości niż męstwa dowodem; nikt nie pierzchnął przed nim, nikt wobec Pana nad Pany na ziemskiego mocarza wejrzał nawet.

Napróżno Bolesław brzękiem miecza i chręstem zbroi dawał znać o sobie, księży się modlili

nie ruszył. Korzystając z milczenia, począł mówić głosem spokojnym.

— Znam cię—rzekł—choć tegom ci mówić nie chciał. Znam cię. Byłeś królem, zostałeś zabójcą—jesteś grzesznikiem, a pokutą zbawionym być możesz. Dla tego ja, robak mizerny, nie wahałem się napoić wyklętego i nakarmić, narażając duszę własną, bym ocalił twoją.

Król Bolesław, on to był bowiem, uśmiechnął się szydersko, patrząc na mnicha.

— Mojej duszy nic nie dobędzie ze szpon szatana — zawołał — wy to klechy oddaliście ją jemu, a teraz litujecie się nad nią? Idź — idź — i daj mi zdechnąć ze psami. Zaszedłem na puszcze, aby ludzkie oko mojej śmierci i szatanów, co po dusze przyjdą nie widziało... Idź, bo zabiję! Dwu klechów, czy jeden, nie zaważy więcej...

To mówiąc Bolesław wziął powoli za miecz, dobył go na wpół z pochew i przypatrywać mu się zaczął.

— Ten sam—rzekł cicho—ciąłem go w czaszkę! Kość pękła, tak mocno gniew rękę pędził. Nigdy tyle krwi w jednym nie było człowieku... nigdy! lała się strumieniami — oblała mnie, ich... próg, kościół, popłynęła strumieniem do Wisły... Rzeka potem stała czerwoną rok cały! Tyle krwi w jednym człowieku!

Zadumał się król i począł nieco spokojniej.

— Klecho! prawda to? musisz wiedzieć? prawda, że mi dadzą straszną pokutę? straszniejszą, niż cesarzowi, który nie ubił żadnego mnicha... Boso, z powrozem na szyi, od kościoła do kościoła przez cały świat iść, w koszuli jednej, podpasanemu stryczkiem... obrzuconemu błotem, oplwanemu przez gmin... smaganemu przez oprawców?? prawda to?

O. Otton zamyślony patrzył nań.

— A! gdyby nawet taką była pokuta—rzekł— a po niej otwarło się niebo jasne, i Chrystus z krzyża schodząc, otworzył ci ramiona, aby grzesznika do

piersi przycisnąć? Gdyby krwawym oblanego potem anioły na skrzydłach wniosły do niebieskich przybytków wiekuiestej chwały!

Król głową potrząsnął, i spytał:

— A—ta krew? ta krew?

— Łzy zmywają krew nawet—odparł O. Otton —a jedna łza unosi z sobą potoki... lecz trzeba, aby z głębin serca trysnęła.

Bolesław milczał i jakby już nie słuchał mnicha, począł:

— Ludzie psów nie warci! Słyszysz klecho! Psy pozdychały dla mnie, a ludzie opuścili wszyscy. Nie mogę powrócić do ludzi, ani do państwa mojego, ani w tę gościnę węgierską, z której mnie kosemi oczyma pędzą—mnie, com posadził tego słomianego króla na tronie, com państwo jego mógł wziąć i trzymać, mnie!!—Nie—tu zdychać trzeba...

Pochylił się ku O. Ottonowi.

— Daj mi jakiego jadu, trucizny takiej, żeby duszę wypędziła z ciała jak strzałę łuku; dam ci...

Tu począł się oglądać po sobie.

— A! nie mam ci co dać; — chyba miecz ten, na którym przyszła krew twojego brata. Nie mam nic, rozdałem wszystko. Daj jadu przez miłosierdzie, słyszysz, daj jadu, bo cię zabiję — jadu! jadu mi daj!

Podnosił głos i sunął się ku mnichowi, który cicho rzekł tylko.

— Jadu nie mam—lekarstwo ci znaleźć mogę!

Król oczy w niego wlepił.

— Chodź ze mną—mówił mnich...—Tam, u stóp góry, stoi nasz klasztor, cichy oddalony, spokojny, gdzie możesz niepoznany odbyć pokutę i zbawić twą duszę... Klasztor—mówił Otton,—to jest kruchta niebieskiego kościoła, gniazdo ciche w pustyni. Oko ludzkie widzieć cię tam nie będzie. Przywdziejesz suknię, poczniesz służyć Bogu, jak dotąd służyłeś grzechowi... Bóg zmiłuje się nad duszą twoją.

Bolesław potrząsnął głową, i zamiast odpowiedzi,

pokazał mu do pół obnażony miecz. Czy chciał przez to powiedzieć mu, jaki wielki był grzech jego, czy grozić,—O. Otton nie ustąpił.

— Nadeszło południe. Siedzieli jeszcze, rzadkie wymieniając słowa,—mnich nie odchodził. Głód i pragnienie mu dokuczało; poszedł je ugasić w strumyku, z którego dłonią zaczerpnął wodę, wrócił i siadł przy królu.

Ten leżał znów na ziemi, patrząc w górę, nie chcąc widzieć mnicha, ani z nim mówić.

Słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi—oba nie ruszyli się z miejsca.

Wieczorem niepokój wielki panował w Ossiacim klasztorze, O. Ottona nie było! Zwykle powracał na wieczorne w chórze modlitwy. O. Augustyn lękał się bardzo, aby starca biednego jaka przygoda nie spotkała w górach, zwierzę dziki, upadek ciężki, kalectwo, obłąd w lesie, zbój lub jaki włóczęga. Posłano dwu młodych nowicjuszków ku górą, na zwiaady, nie kazać im się oddalać bardzo; powrócili przed nocą, smutni, nie znalazłszy ani śladu, ani wieści o O. Ottonie. Przy modlitwach wieczornych i nocnych bracia dołączyli jedną na intencję staruszka.

Następnego poranka nie było go jeszcze; trwoga coraz większa opanowywała zakonników, którzy kochali O. Ottona. Już miano najętych ludzi wyprawić do lasu, aby przynajmniej ciało znaleźć i pogrześć je po chrześcijańsku, gdy około południa wbiegł nowicjusz do przełożonego z radością wielką i przyklęknawszy w ręce go całując, oznajmił mu, iż na drodze od lasu widać było wracającego O. Ottona, który z sobą wiodł jakiegoś, o ile zdawało się, chorego czy osłabłego człowieka.

Natychmiast wysłano naprzeciw dwu młodych braciszków, gdyż idący wlekli się tak zwolna, jakby posiłku i pomocy potrzebowali.

Sam O. Augustyn stał w progu, czekając na przybywających.

Nie rychło do furty się przywlekli; przodem

staruszek, żwawy jeszcze, choć zmęczony trudem i głodem, za nim podtrzymywany przez braciszków męczyzna, który z głową zwieszoną, włókł się, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach. O. Otton opowiedział po cichu przełożonemu, jak go znalazł zgłodniałego na puszczy, i że człowiek ten grzesznikiem był, który naprzód dobrowolnej śmierci szukał, potem do odbycia w klasztorze pokuty w sukni zakonnej dał mu się nakłonić.

Przybyły, jakby przysięgł na milczenie, nie odzywał się ani słowa, dał się naprzód zaprowadzić do izby przeznaczonej dla chorych, i tu leżał na posłaniu, kilkanaście dni w gorączce pilnowany przez jednego O. Ottona, gdyż nikogo więcej doń nie dopuszczano.

Gdy po dwu z górą tygodniach wyszedł z infirmerji ów chory nieznany człek, ci co go tu przybywającego widzieli, ledwie oczom swoim wierzyć mogli, tak strasznie był zmienionym.

Legł na łożo olbrzymem silnym, wstał z niego niemal kościotrupem, obleczonym skórą. Zmieniło go to, że włosy mu ostrzyżono jak wszystkim nowicjom, suknię czarną wdziano, i począł od tego dnia pełnić w klasztorze posługi, które z kolei przyjmowani do zakonu braciszczowie spełniali.

Przypadło nań noszenie wody, rąbanie drzew, posługa kuchenna, motyką przygotowywanie roli na ogrody, a choć wychudły człek zdał się na oko bezsilnym, nikt mu nie zrównał w ciężkiej pracy. Owszem zdawała mu się ona ulgę przynosić i czynić przyjemność, tak gorliwie, tak zapalczywie rwał się do niej.

Wstawał o brzasku, szukał zajęcia do nocy, a gdy inni czemu podołać nie mogli, biegł jakby życia się chciał pozbyć, gdzie był największy trud i niebezpieczeństwo. W kościółku zrazu rzadko się ukazywał, stawał w kruście lub progu i dalej iść nie chciał. Obudzał w klasztorze powszechną ciekawość, gdyż i z postawy i z ubioru, który zrzucił przybyw-

szy, domyślano się w nim możnego jakiegoś pana. Niektórzy mieli go za leśnego zbójcę, który w górach długo był postrachem podróżnych, nikt jednak nie wiedział o nim, a O. Otton milczał.

Trafiało się, że do ustronnego klasztoru zajeżdżali czasem panowie możni z Węgier i słowiańskich krajów jadący, stając tu na noc gospodą. Naówczas, zapewne za pozwoleniem przełożonego, braciszek, któremu dano imię Pawła, nie ukazywał się wcale. Krył się w budzie ogrodowej, zamykał w celi i do posługi nawet nie wychodził.

Najbardziej było uderzającym, gdy we dwa miesiące po przybyciu jego do Ossiahu, wieczora jednego kilkunastu polskich rycerzy, przebywających na dworze króla węgierskiego, do klasztoru przybyło. Byli to pozostali do końca przy Bolesławie, królowej i młodym Mieszkowi, Boleszczyce.

Jak wszystkich podróżnych, O. Augustyn przyjął ich gościnnie. Braciszek Paweł, gdy im wrota na podwórze otwarto, niósł właśnie na plecach wiązkę drzewa, pod którą szedł zgarbiony; znikł natychmiast w kuchni, i cały wieczór, a i następny ranek szukano go na próżno.

Ułęknono się nawet, czy mu się co złego nie stało, ale O. Otton pobiegł do przełożonego, a O. Augustyn powiedział, że sam posłał Pawła z poleceniem jakimś od siebie na nowiny, które właśnie karczowano.

Boleszczyce, przyjęci w izbie dla obcych przeznaczonej, mówili tylko z O. Augustynem i Ottonem, którego zaraz poznali. Zapytał się starszek co poczynali i jak im było na świecie... Pytanie to było nawet zgoła niepotrzebne, bo jedno spojrzenie na nich uczyło, iż ta rzeźka i świetna młodzież wiele ucierpieć i strasznie przeboleć musiała.

— Mój ojcie — zawołał Dobrogost do starszaka, bo Borzywój, dawniej najmówniejszy, teraz niemal mowę postradał — mój ojcie nie pytajcie lepiej, abyśmy odpowiadając wam, serca sobie nie krwawili.

Nieszczęsna to była godzina, gdy się z Kijowa wróciło, wojen poprzestało, a doma ze swemi wojować rozpoczęło. Nie byliście już pono w Krakowie, gdy króla i nas z nim precz wyparto, po onem zabójstwie Biskupa. Jechał Bolesław w tej jeszcze nadziei, że powróci z potęgą wielką i kraj zmusi do posłuszeństwa... Z pańskim przepychem i okazałością przyjechalśmy na Węgry, a nie można rzec, aby nas tam źle przyjęto. Ale pan nasz serce miał uciśnięte i myśli pomięszane. Więc zamiast za gościny królowi węgierskiemu być wdzięczny, tak się z nim obchodził, jakby on mu podległym był.

Król i to od dobroczyńcy znosił, ale panowie węgierscy szemrać, sarkać i burzyć się poczęli. Więc gdzieśmy pokoju i druhów szukali, znaleźliśmy nieprzyjaciół i nowe utrapienie.

Król jak w domu ze wszystkiego się urągał, tak i tu lekceważył wszystko. Z dumy swej nie ustąpił na włos, ani się chciał dać ugłaskać... Ciężkie z nim były godziny nasze: a co przyszło wycierpieć i każdemu z nas, i wszystkim nam, jednemu Bogu wiadomo. Im bardziej doskwierało nieszczęście, a z Polski gorsze wieści dochodziły, tem on na przekór szaleńszym był i rozpasańszym.

Kilka razy we dworze się przyszło zamykać i u ostrokołów bronić przed nacierającymi Węgrami, których gościnności ani chciał szanować, ni być wdzięcznym za nią.

— Ja tu panem jestem — mówił głośno. Kto króla wam dał, kto spokój przywrócił? ja, — króla macie z ręki mojej — kraj wasz, — kraj mój!

I tak też poczynął sobie jakby doma, a gdy Borzywój, ja, Drużyna, Mieszko i inni prosili go, aby się miarkował, nogami kopał i psami łajał...

Królowej płacz na nic się też nie zdał, chyba żeby go do większej pobudzić złości. Milczeć trzeba było i cierpieć.

Zdało się czasami, nocą zwłaszcza, jakby rozum postradał, bośmy sypiając u drzwi słyszeli, jak sam

z sobą mówił i krzyczał, iż strach brał. Odzywał się jakby przed sobą Biskupa widział stojącego, to wołał Krysty, to innych pomarłych i pobitych — potem się śmiał, głowę o ścianę tłukł, psy swe mordował, a potem gdy nazajutrz wstał, znów rozum miał, tylko milczał i patrzył okrutnie, aż krew w żyłach zastygała.

Posyłał raz w raz to na Ruś, to do Polski, od jednych posiłków żądając, a w domu chcąc do siebie rycerstwo przyciągnąć. Rusini ani myśleli ruszyć za niego chyba dla siebie, a rycerstwo znać go i nas nie chciało. Kto tam poszedł, każdy się wstydu napił i z ciężkiem sercem powracał...

Jak się dowiedział, że do księcia Władysława posłano, aby po nim koronę wziął, zaraz do niego wyprawił, aby się nie ważył jej tknąć — bo ją życiem przypłaci. Książę też i tak obawiał się, i uchodził, krył się, aby go nie kuszono.

Namówić go chcieliśmy, aby syna z królową posłał, któremyby stryj za opiekuna mógł służyć, ale za to omal mówiącego nie zabił, twierdząc się panem, i zapowiadając, że nazad mścić się powróci.

— Cóż się z nim stało? — zapytał O. Augustyn.

Na to Dobrogost i Borzywój westchnęli tylko.

— Nikt nie wie, — rzekł pierwszy z nich. — Będzie temu dwa miesiące, gdy się z nami na łowy wyprawił, właśnie w te okolice. Nie dalej nad mil dziesięć ztąd nocowaliśmy. Król przez pierwsze dni łowów chmurniejszy był i gniewliwszy, niż zwykle. Zaraz drugiego dnia psiarczyka pięścią w czoło uderzył i na miejscu go położył. Biegł z koniem tak, nie zważając na przepaście, na góry, na nic, iż zdało się, że chyba śmierci szuka; my za nim ani podążać, ani zrównać się nie mogliśmy. Trzech konie postradało, bo karki pokreśliły, Andrek rękę wyłamał, Sreniawa żebra potłukł. Na noclegu, gdyśmy się opowiadali, ani słuchać chciał.

— Licho bierz tych, co koni nie mają, a kto kaleka niech do jamy rusza i liże się!

Nikomui nie dał słowa dobrego.

— Wszyscy karki pokreście, — powiedział mi — nie będę po was płakał. Tak z wami, jak bez was.

Zmniejszyła się liczba nasza, a król na to nie zważał. Ostatniego dnia sześciu nas zostało, obejrzawszy się, policzył oczyma, splunął, zaśmiał się i ruszyliśmy w lasy... Do południa zwierz nie było, pomordowaliśmy się srogo, konie ledwie się wlekły, padały, trzeba było stanąć na popas i spoczynek. My też popadaliliśmy na ziemię jak nieżywi, jeść się odechciało, byle spać. Zasnęliśmy twardym snem, postawiwszy Mieszkę Drużynę na straży, aby zbudzić było komu, gdy znówu nas popędzi.

Budził mnie Mieszko: — Wstawaj! — myślałem, że jechać czas, rzuciłem się do konia. Wtem Drużyna powiada:

— Króla niema.

— Jakto niema?

— Gdyśmy stanęli, parę psów ze sobą wziął najulubieńszych i poszedł w las, zakazując, aby za nim nikt się iść nie ważył. Powiedział, że powróci aby nań czekano.

Tymczasem słońce się ku zachodowi schylać zaczęło — a króla ni słycho. Sądząc, że się zbłąkać mógł, wzięliśmy się w rogi trąbić bez ustanku, jeden po drugim, co jeden się zmordował, poczynął z kolei inny. Król z sobą róg wziął, nasłuchiwaliliśmy czy nie zatrąbi — ani słycho! A tu — noc.

Rozpaliliśmy więc ogień ogromny, aby na łunę się mógł kierować; nie śpiąc, przesiadaliśmy noc całą do rana. Nie było go. Dopiero straszna ogarnęła nas trwoga, jak tu powrócić do królowej, co powiedzieć? Ludzie, co widzieli srogię pana obchodzenie się z nami, posadzić nas mogli, żeśmy go zabili.

Jeliśmy tedy do koła las cały strzęsać, przeszukiwać, biegać po nim, ludzi w pomoc brać; po osadach i chatach zaglądać, czy gdzie nie dostaniemy języka. Nigdzie nikt nie widział go, nie słyszał

o nim—śladu najmniejszego... Dziś już tylko chyba trupa szukać trzeba — bo żywym być nie może. Obłąkał się pewnie na puszczy i z głodu zemrzeć mógł.

O. Augustyn dziwnie popatrzał na O. Ottona, i odezwał się do Boleszczyców:

— Powiedźcie nam, jak ten wasz pan wyglądał, abyśmy na wypadek i drugim o tem oznajmić mogli?

Dobrogost zaraz począł opisywać, jakiej był postawy, włosa, jaki przy sobie oręż miał, suknię, jako chodził i mówił.

Gdy to mówił, O. Augustyn pastrzał na O. Ottona, a staruszek, ręką po twarzy tarł i rumienił się jakiś niespokojny. Wieczorem, gdy się rozmowy skończyły, przełożony kazał O. Ottonowi iść za sobą do swojej celi.

Gdy weszli a drzwi się zamknęły za nimi, odwrócił się ku niemu i rzekł, ręce mu kładąc na ramionach...

— Ten jest, o którym opowiadają!

Ze złożonemi na piersiach rękami, ukląkł staruszek.

— Przebaczenie mi—odezwał się — zgrzeszyłem kłamstwem wielkiem, ten jest! Spowiadam ci się, ojcze, że to uczyniłem, abym duszę jego zbawił—pokutę mi naznaczcie, choćby najsroższą, najstraszniejszą, a nieszczęśliwego mordercę nie wyganiajcie od progu tego, i niech miłosierdzie pańskie nań zstąpi!

— Ojcze mój! — odezwał się przełożony — nie na pokutę zasłużyliście, ale na chwałę... Niech się stanie, jako Bóg zrządził przez was.

Natenczas O. Otton opowiedział dopiero, jak ów ptak niebieskoskrzydlaty wiódł cudownie, podlatując, aż ku miejscu temu, na którym króla znalazł, i oba wielbili opatrność Bożą.

Nazajutrz rano już się Boleszczyce wybierali dalej jechać, gdy Zbilut, który ciekawy był wszystkiego, postrzegłszy ogród klasztorny, a w nim kwia-

ty i różne ziele i drzewa, które mnisi z cieplejszych krajów tu z sobą przynieśli — zapragnął bardzo wrydarzowi onemu zbliżać się przypatrzeć. Na to pozwolenia nie było trzeba, więc wszedł...

Król w sukni zakonnej braciszka, brudnej i starej, właśnie schroniwszy się do budy ogrodowej, siedział w niej, nie spodziewając się wcale, aby tu który z Boleszczyców miał się zjawić, gdy Zbilut stanął przed nim.

Stanął, spojrzął i osłupiał. Poznał zaraz, choć wychudzoną, twarz królewską, ale oczom nie chciał wierzyć.

Zerwał się król i dawny gniew go opanował, tak że się na Zbiluta rzucił, jakby go chciał zamordować, ano wnet opadły mu dłonie i sam na ziemię padł, twarz kryjąc w dłoniach. Zbilut mu się też u nóg położył, płacząc i z radości, że pana znalazł, i z litości nad stanem jego.

Wtem król się podniósł i głosem zmienionym prosić począł, aby tajemnicy jego nikomu nie wydał. Zbilut poprzysiągł, ale do nóg jeszcze raz padł, aby braciom jego wiedzieć się pozwolił. Bolesław nie przystał na to, jednego Borzywoja do siebie zawołać kazał. Gdy inni śniadali, o niczem nie wiedząc, Zbilut brata starszego królowi przyprowadził, z którym Bolesław tylko krótką mówił chwilę — nakazując im powracać do królowej, — Mieszka i pani tej strzedz, a im pozostać wiernemi.

Wyjechali Boleszczyce z Ossiaku nazad i wprost do Wielisławy zdążali, aby spełnić ostatnie pańskie przykazanie.

Borzywój, który na tajemnicę nie przysięgał, długo ją trzymał, aż raz, gdy królowę widział wielkim żalem zdjętą nad zgonem męża, bo wieści chodziły straszne, nie wiedzieć przez kogo rozsiewane, że go psy rozszarpały, czy że sam śmierć zadał sobie, ulitowawszy się boleści jej, opowiedział o wszystkim jak było.

Radość królowej nadzwyczajna o mało tajem-

nicy nie zdradziła, lecz Borzywój uprosił ją, by się miarkowała i nie wydawała króla, który pokutą oczyścić się pragnął. Wymogła tylko królowa na nim, w rok potem, aby on sam jeden, nikomu nic nie mówiąc, do Ossiaku znowu jechał, pozdrowienie od niej zawiózł, i ó rozkazy dla Mieszka i dla niej prosił. Borzywój wiedząc, iż niemile przyjęty będzie, prawie rok się ociągał z podróżą; wreszcie uprosić się dał i pojechał.

Było to już jesienią, drogi nie bardzo bezpieczne, dni krótsze, dosyć, że podróż dłużej trwała niż Borzywój rachował, i ledwie, postradawszy dwa konie, do klasztoru się dostał.

Przełożony poznał go zaraz.

Zapytał o O. Ottona.

— Pogrzebaliśmy go tej wiosny, odpowiedział O. Augustyn, i żal nam go, bo nie łatwo kto zastąpi człowieka, co wszystko umiał, a pokorny był, jakby nie znał nic...

Borzywój o króla zapytać się nie śmiał i nie wiedział jak; wtem sam przełożony zagadnął go.

— Wszak z polskiej ziemi jesteście?

— Tak jest — rzekł Borzywój — i służyłem na dworze króla, który...

— Któregośmy tu pochowali, — dodał cicho O. Augustyn.

— Umarł!! — odezwał się z wyrazem głębokiego żalu i zdumienia Boleszczyc — umarł!!

— Skończył przykładnie — rzekł O. Augustyn powoli. — Dziś nie jest dla nikogo tajemnicą, chociaż umierający życzył sobie, aby ani o jego zgonie, ni o miejscu pogrzebu nie wiadano, a przynajmniej nie rozgłaszano po świecie. Kazaliśmy na pamiątkę pokuty nad grobem jego kamień położyć. Zobaczycie go przy kościele na cmentarzu.

— Człowiek był jeszcze nie stary, silny! — zawołał Borzywój.

— Ale go złamało życie, zgryzota, upadek... mówił przełożony. — Jeśli się nie mylę, wyście go tu

widzieli już w sukni naszej; naówczas był wychudły i zwiedły, później zamęczył się sam do upadłego pracą dobrowolną. Była to natura gwałtowna i namiętna, która potrzebowała być czynną, a gdy dobrze czynną być nie mogła, — naówczas szła ją porywał. W klasztorze na chwilę nie można go było namówić do spoczynku. Najcięższa robota najulubieńszą dlań była. Gdy pot ciekł ze skroni, całe ciało drżało z wysilenia, siły się wyczerpywały, naówczas uspakajał się w nim ów duch buntowniczy. Gdy siedział bezczynny, gryzły go wspomnienia, pożerały myśli, zrywał się choć w nocy i biegł albo poruszać młyn, lub bić w stepie, lub drzewo rąbać... Nawet gdy już chorzał, na łożu go utrzymać nie było podobna. Do ostatniej godziny, ze złożonemi rękami domagał się, błagał roboty ciężkiej.

Najogromniejsze ciężary kładł na barki; zapręgał się nieraz do wozów, włókł kłody z lasu, — a przytem pokarmu używał mało i wodę pił tylko... Zdawało się, że w ten sposób chce w sobie życie zgasić, a było go w nim jeszcze taka potęga i moc, że w zdumienie nas wprawiała.

Stary człowiek, król i mocarz budził się w nim jeszcze czasami, gdy rycerzy przybywających tu widywał, lecz zwyciężał w sobie te wybuchy i uciekał od widoków, które mogły je wywołać.

Raz nocowali tu sascy rycerze, którzy nad ranem wyjeżdżać mieli. Braciszek Paweł, gdyż tak się zwał między nami, szedł z wiązką drzewa przez podwórze, gdy jednemu z Sasów koń się wyrwał i począł dokazywać. Nikt się doń przybliżyć nie mógł; próbowali z kolei i panowie i pacholki, — tłukł ich wszystkich i kąsał. Brat Paweł stał na progu wiązkę drew położywszy przy sobie, zarumieniła mu się twarz, uśmiechał się szydersko. Nagle, jakby wytrzymać nie mogąc, zapomniawszy się, poskoczył do konia śmiało, pochwycił go u łba za wiszące cugle, a gdy się jeszcze wyrwał, ściągnął tak, że zwierze paść musiało. Wszyscy, co na to patrzali, osłu-

pieli z zadziwienia, podbiegł Sas, korzystać z tego, że koń był schwycony, a brat Paweł jak zawstydzony i upokorzony, że w nim krew zawrzała, uciekł i skrył się.

W ostatnich czasach, i wogóle w ciągu pobytu w klasztorze, nie mówił prawie do nikogo, nie obcował z nikim, od ludzi uciekał. Dopóki żył O. Otton słowo czasem przemówił do niego, po jego zgonie, zapytany tylko i zmuszony, odpowiedział słowem jednym na pytanie. Gdy mi dano znać,—ciągnął dalej O. Augustyn,—że dnia jednego zaniemógł brat Paweł, zarazem źle wróżył o nim, bo choć chory, nigdy się nie kładł i pracować nie przestawał.

Poszedłem doń nawówczas. Wybrał sobie na garści słomy posłanie w ciemnym kącie nędznej szopy, a gdy go do klasztoru chciał kazać przynieść, prosił mnie, aby mu wolno było pozostać na tym barłogu. Mało życia już w nim było, dyszał strasznie, oddychać nie mogąc, oczy miał rozgorzałe gorączką, rzucał się niespokojny, czuł nadchodzącą godzinę ostatnią i walkę z żywotem nędznym, co go zamknąć miała. Chciałem mu posłać ojca Zacharję, który znał się na ziołach i na lekach, ale wszelkiej pomocy odmawiał. Wieczorem zastałem go już na poły obłąkanego, z twarzą i usty spalonymi, lecz przyszedłszy do siebie spowiedź odbył przedemną i oddał mi ostatni znak, jaki jeszcze miał swojej dawnej wielkości, swój pierścień królewski. — Zbliżał się zgon, chciałem go dopilnować w ostatniej godzinie, nie dozwolił na to, błagał, abym się oddalił. Uczyniłem to, oddawszy ostatnią posługę, i na wieczną podróż opatrzywszy go sakramentami, czego żądał odemnie. Młodemu braciszkiowi tylko niedaleko szopy siedzieć kazałem na wypadek, gdyby wołał o co, lub posługi potrzebował. Umarł w nocy po ciężkiem samotnem konaniu, w jękach i płaczu, a gdyśmy rano przyszli do ciała, znaleźliśmy je twarzą na ziemi leżące, z pięściami boleścią zaciśniętymi, z garściami pełnymi ziemi, którą darł, konając.

O. Augustyn dokończył i westchnął, Borzywojowi łzy stanęły na powiekach, gdy wspomniał wielkość i potęgę tego pana, który w takiej nędzy i męczarniach żywota dokonał.

Poszli potem do grobu, u którego w ścianie kościołka wmurowany był już kamień. Niewprawną ręką jednego z braci wyciosała na nim rycerskie i książęce godło, nawówczas na pieczęciach i na grobach władzę oznaczające i panowanie—konia. Dokoła w łacińskim języku, krótki napis świadczył, że tu — spoczywał—Bolesław, zabójca biskupa Stanisława.

Dzień cały zabawiwszy w Ossjaku, Borzywój puścił się w drogę nazad ze smutną wieścią do królowej. W Krakowie już zmuszony do objęcia rządów, Władysław Herman króla zastępował, Mieszka i matkę jego wzywano napowrót do kraju...

VI.

Wieczór był letni, skwarne go dnia, który zwykł burzę poprzedzać; nie było czem tchnąć, tak cisnęło brzemienne piorunami powietrze. Najmniejszy wietrzyk nie poruszył liści na starych drzewach, które wały Jakuszowickiego zamczyska porastały. Cisza smutna panowała do koła, tem dziwniejsza, iż mnogiego ludu tłumy zalegały wały, podwórce, nawet gościniec, prowadzący od zamku do maleńkiego kościołka drewnianego, który stał u stóp jego. Od niepamiętnych czasów takiego napływu ludzi nie widziano na spokojnym gródku Odolajowym. A był to lud po większej części rycerski, ziemianie i żołnierze, wszystkie plemię Jastrzębców i ich powinowatych. Ani szczupła izbica, ni szopy, ni podwórce tego natłoku gości pomieścić nie mogły; stali więc, siedzieli, leżeli na ławach i na łące pod grodem, jakby

wielkim obozem. I widać było, że nie wypadkiem się tu znaleźli, ale zwołani na uroczystość jakąś, która ich tu gromadziła, bo każdy przywdział jaką miał najlepszą zbroję, hełm i miecz,—każdy się przystroił, jak go stało najczystiej. Rozrodzone plemię trzymało się w większej części gromadkami przy ojczach, dziadach i starszej braci, jakby poczty składając. Od starców siwych począwszy, do wyrostków zaledwie z dzieciństwa wychodzących, wszystkie wieki stawily się na to zawołanie. Na wszystkich twarzach widać było jeden wyraz jakiś pośepny, uroczysty, poważny. Mówiono po cichu, nigdzie śmiechu na ustach, nigdzie nawet żwawszego ruchu dostrzedz nie było można.

Najtłumniej gromadzili się starsi około izbicy, której okna były poodsuwane, drzwi wyjęte, a przez nie dostrzedz mogło oko światło we wnętrzu, z którego pieśń smutna, powolna płynęła, przerywana jękami płaczliwemi.

W środku izbicy, na wysłanym wysoko łożu, okrytem skórą niedźwiedziemi, spoczywało ciało Odolaja, wedle rozkazów jego odziane w szarą opończę, jaką nosił za życia. W skostniałe ręce krzyżyk mu dano, i krzyż stał w głowach, a przy nim dwu księży odśpiewywało psalmy...

Czekano na trumnę, którą właśnie czterech ludzi dźwigało na barkach. Ówczesnym obyczajem, była ona w jednym olbrzymim kłocu dębowym wydrążona; osobno niesiono wieko, które je przykryć miało...

Prawie tak staro i zgrzybiało wyglądający, jak ten, którego na wieczny spoczynek odprowadzać miano, o kiju przygarbiony, z włosy siwymi stał u drzwi Mszczuj Odolajów, wnuk najstarszy po Mieszku, zapatrzony w ziemię i jak nieprzytomny... Otaczali go dokoła młodszy bracia, bratankowie i dalsi plemiennicy. Wszystkich oczy zwracały się ku temu starcowi, którego boleść wielka litość obudzała.

Jaromierz, drugi z wnuków, położył mu zlekka rękę na ramieniu i szepnął:

— Co się tak smucicie? wszystkich to nas los—na ostatku mogiła, a nasz dziad dożył takiego wieku, jakiego z nas żaden mieć nie będzie i należał mu się spoczynek...

Mszczuj milczał długo, potrząsając głową, potem dobył się z piersi jego głos jakby grobowy:

— Dziada płacze—rzekł—tak, ale i nad sobą też razem. Dobrze mu było do trumny się położyć, zostawując po sobie syny, wnuki i prawnuki, mając komu przekazać ojcowiznę, imię i pamięć swoją. Nie tak ze mną! nie tak! Jam sierota. Ty wiesz... Z licznej rodziny mojej nikt mi nie został—nikt! Sam stoję nad mogiłą, nie będzie mi komu oczu zawrzeć... Al i sam ja winienem sieroctwu mojemu...

Pomilczał trochę Mszczuj, patrząc w okno, jak do trumny, na posłanie z chmielu i kwiatów kładziono ciało dziadowskie, potem poczał znów cicho, jakby w sobie boleści wstrzymać nie mógł:

— Sześciu ich miałem! Nie było mi na stare lata choć jednego sobie, jak kija do podparcia się zostawić! Wszystkich oddałem królowi i z nim mi oni wszyscy zginęli!

— Któż to wiel! — odezwał się Jaromierz. — Wprawdzie głucho o nich, ale żywi są pewnie i wrócić jeszcze mogą!

— Jak? — pochwycił żywo Mszczuj — po co? Czyż nie wiecie, że razem z Bolesławem wykleci są i wywołani. Stary Odolaj się ich wyparł i przeklął; ziemię, co im przynależeć miała, zabrano i innym rozdano. Nie mają po co wracać, ni do czego... Kto wie zresztą, ażali żyją!

Jaromierz go nie śmiał, czy nie umiał pocieszać. Wtem przysłuchujący się rozmowie, milczący dotąd Bronko Jastrzębiec, rzekł cicho:

— Mówią, że Władysław syna Bolkowego i matkę jego wezwał do powrotu. Kto wie ażali, i nasi z nim nie przyciągną?

Niedowierzająco Mszczuj głową potrząsł.

— A z królem cóż się stało?— spytał.

— Różne są mowy — odezwał się Bronko — gdzieś pono poszedł bez wieści. Prawdy nie dojść. Mówią, że oszalał, że uciekł gdzieś, że do Rzymu boso poszedł, że w klasztorze pokutę sprawuje...

Mszczuj głowę podniósł.

— On!—zawołał z goryczą.—Onby miał pokutować! Szaleć i błąkać się może, ale z tej krwi się obmyć!—hej! hej! zatwardziały to człek!

Ustała na chwilę rozmowa, gdyż księża zaśpiewali głośniejsze, trumnę zabijać miano... Ruszyli się synowie, wnuki i prawnuki żegnać raz ostatni Odolaję i dał się słyszeć płacz bolesny. Klęcząca u trumny Tyta zawodziła głosem jęklwym...

Szedł przodem najstarszy wnuk Mszczuj do dziadowskiej ręki, pokłakł i całował ją i płakał, za nim Jaromierz, Bronko i drudzy...

Nie wszystkich jednak do zwłok dopuszczano, gdyż zbyt wielka była gromada, a dalsi i najdalsi docisnąć się nie mogli—i trumnę zasypaną kwieciami zabijać poczęto...

Wzięli ją na ramiona synowie i wnuki i z wielką trudnością z ciasnych drzwi izbicy wynieść potrafili. Za trumną odpychany napróżno, z głową spuszczoną, włókł się Hyż wychudły, z najeżoną sierścią i zwieszonym ogonem...

Prowadzono też na znak, iż Odolaj rycersko służywał, konia starego pod okryciem, na którym łuk wisiał i strzały i toporek... Płaczki najęte prowadziła Tyta, szło duchownych dwu, a dalej w porządku owe seciny rodu całego, gromadami przy swej starszynie.

Cały ten orszak z izbicy wyszedłszy, zwolna w podwórcę wyciągnął i ku wrotom zmierzał... Z osad i wsi, które do Odolajowych ziem należały, wielkie gromady ludu, obok drogi do kościołka, stały ściśniętymi szeregami, w milczeniu, z głowy odkrytymi. W kościółku odzywał się powoli dzwonek...

Dębowa trumna, kołysząc się nad głowami niośących, już ze wrot zamku wychylała się na drogę, gdy tuż około niej idący, jakby widok jaki nadzwyczajny oczy ich uderzył, mimowolnie półgłosem krzyknęli.

Mszczuj, który zgarbiony dźwigał dziadowskie zwłoki, mimowolnie głowę podniósł nieco, i gdyby nie bratanek obok idący, możeby padł na widok, który oczy jego spotkały...

Za gościńcem, naprzeciw idących, na koniach stało we zbrojach, czarno odzianych sześciu ludzi, stało i zdawało się miłosierdzia prosić, z taką pokorą, z głowy pochylonemi, — witali orszak pogrzebowy.

Byli to Boleszczyce, sześciu synów Mszczuja, których on już nigdy widzieć się nie spodziewał, a Odolaj wygnał precz, nawet na pogrzeb swój im nie dopuszczając przybyć, wyłączwszy z rodu i plemienia, Boleszczyce razem z królem wyklęci i zatraceni, zjawiający się jakby cudem w Jakuszowicach w godzinie ostatniej posługi.

Nie śmieli oni wjechać na gród, ani się do orszaku przyłączyć, — stali na uboczu, oczekując, jaki los i wyrok od własnej krwi ich spotka.

Na widok ich pobladło i zarumieniło się lice ojcowskie, chciałby się rzucić ku nim, aby raz jeszcze dzieci uczuć przy sobie, ale dziadowskiej trumny nie godziło mu się opuścić... Choć drżały pod nim nogi, musiał iść dalej.

Dokoła mimo śpiewu i płaczu, słyhać było szmer coraz głośniejszy, odbijający się w sercu Mszczuja to strachem jakimś, to nadzieją. W tłumach czuć było i oburzenie na zuchwałstwo, z jakim Boleszczyce się pokazały tu śmieli, i radość z ich ocalenia i przybycia. W mnogiej, rozrodzonej rodzinie, jedni byli za niemi, drudzy przeciwko nim.

Starszyna prawie całą sądziła ich nielitościwie a srogo, za to, że władzy ojcowskiej i dziadowskiej nie poszanowali; młodzież litowała się nad niemi

i czuła, że poświęcenie się dla nieszczęśliwego króla, wiara dotrzymana mu — to, co ucierpieli dlań, mogło im wyjednać przebaczenie! Głośniej jednak słyhać było oburzenie i szmery niechętne, niż objawy życzliwe. Nikt nie skinął na nich, aby pozsiadali z koni i z orszakiem się połączyli, nikt się nie zdawał ich widzieć, ani troszczyć niemi. Sześciu Boleszczyców, jak stali na koniach szeregiem nad drogą, tak pominięci, nie powitani, wzgardzeni, pozostali sami jedni.

Dopiero, gdy przepłynął tłum cały i szła czeladź, a parobcy dworscy, oni też na drogę wjechali, i z tyłu jadąc za wszystkimi, aż do cmentarza i kościołka się zbliżyli. Z rodziny wszyscy weszli w ogrodzenia, otaczające cmentarz, oni na koniach, przed wrotami się zatrzymali.

Trumnę niesiono naprzód do kościoła, gdzie odśpiewane być miały psalmy i dokonana reszta obrzędu... Na cmentarzu już obyczajem chrześcijańskim widać było wykopany dół, do którego ciało spuścić miano...

Stojący na koniach Boleszczycy, nie ruszyli się ztąd, do kościoła wniknąć nie śmieli... Kilkrotnie wygnanie patrzyło z ich opalonych i bladych twarzy. Wszyscy postarzelisi nad miarę, — a każdy rok tułactwa, dwoma i trzema zapisał się zmarszczkami. Borzywój na pół był siwy. Owych młodzieńców wesółych, rażnych, gotowych w ogień i wodę, poznać w nich było trudno. Między obcymi stracili dawną swą butę, przywieźli do domu znękaną niewczasami ciała i wymęczone dusze.

Stali, do siebie nawet przemówić nie śmiejąc. pogrążeni w smutku, a Andrkowi w oku łza się kręciła. Szmer oburzenia i niechęci, jakim ich przywitano, tkwił im w sercach, więcej się spodziewali litości u swoich. Nikt, nikt nie wyciągnął dłoni, nie powiedział dobrego słowa, mijali ich starzy, mierząc oczyma groźnemi, a młodsi, spuszczać oczy. Nie

wiedzieli więc, co się z niemi stanie a nawet dokąd się po pogrzebie udać mieli.

Na zamku przygotowaną już była stypa, w której wszystka rodzina miała zasiąść do żałobnych stołów. Gdy na cmentarzu pogrzeb się odbywał, na grodzie w podwórzach stawiano na prędcie z desek układane na pniach stoły, gotowane mięsiwa, beczki piwa i miodu. Stosy chleba leżały przy nich, całe barany i kozły piekły się na ogniskach, a czeladź się około uczty krzątała.

Nie było bowiem naówczas najuboższego nawet pogrzebu bez stypy, którą po sobie pogański jeszcze zostawił obyczaj, a biesiady te niekiedy tygodniami trwały. Ów tysięczny lud i ród nakarmić nie było łatwą sprawą, choć nie wiele wymagano dla ugoszczenia: chleb, mięso, kasza, miód i piwo starczyło...

Na trumnę starego Odolaja sypał się już piasek żółty, którego pierwszą garść rzucił wnuk najstarszy, a Boleszczycy stali jeszcze niemi, zboleli, nie wiedząc, co dalej poczynąć mają.

Wejrzenie ojca, z którym się spotkali, nic ich nie nauczyło; był w niem raczej przestрах, niż radość, więcej przerażenia, niż miłości rodzicielskiej. Znali ojca jako surowego i nieubłaganego sędziego, stali się mu nieposłusznymi, nie wiedzieli, co ich spotkać miało...

Gdy tłum ze cmentarza miał zacząć odpływać nazad ku grodkowi, stojący u wrót Boleszczycy, ustąpili znów na boki z drogi, a Borzywój postanowił czekać cierpliwie, czyli się nad niemi nie ulitują i nie powołają ich...

Tak na uboczu przystanąwszy, oczyma ojca szukali. Ukazał się Mszczuj wreszcie, ale zesłabły znać wzruszeniem i niemocą dawniej złamany, nie sam już szedł, dwu bratanków synów Jaromierza prowadziło go pod ręce. Głowę miał zwieszoną i włócił się, jakby nieprzytomny. Za nim szła żywo i coraz głośniej rozmawiająca starszyna rodu, a potem zmieszany tłum powinowatych i krewnych.

z popuszczaniem głowami, nie spoglądając nań. Biskup kończył mszę świętą powolnie, jakby mu nie modlitwy jego zamącić i przerwać nie było w stanie.

Buta królewska ustąpić musiała przed namaszczaniem kapłana; dwornia pańska, co wpadła do świątyni z wrzawą, teraz coraz bardziej traciła mężstwo i stawała się bojaźliwszą.

Dnia tego biskup nie miał woli ani zamiaru rzucić klątwy na króla,—czekał, pragnąc aby wpływ Hermana, prośby dwóch królowych, przywiodły go do upamiętania. Zniósł więc tę napaść cierpliwie.

Bolesław dotrwał do końca mszy, lecz i on doznał tego, co jego dworzanie; spokój jaki tu zastał, odbił się w niem nieopisaną jakąś trwogą i niepewnością. Spojrzawszy kilkakrotnie na biskupa, który unikał spotkania ze wzrokiem króla, Bolesław dał znak swoim i z hałasem a brzękiem zabrał się do odwrotu.

Rycerstwo, co wpadło wojować z jednym bezbronnym człowiekiem, wyszło, mężstwem jego pokonane.

Dopiero za progiem Bolesław odzyskał swą śmiałość, odwrócił się ku stojącemu jeszcze przy ołtarzu biskupowi, pięścią mu pogroził zdala, i do samych drzwi kościelnych klacz swą ulubioną kazawszy podprowadzić, siadł na nią, ruszając na łowy.

Nikogo już nie było, oprócz tych, co od początku mszy słuchali, gdy biskup przeżegnał lud, odczytał ewangelie i zwolna odszedł nazad do zakrystyi.

Wszyscy, co go otaczali, stali wylękli, on sam jeden wcale się pomieszany nie zdawał. Ukląkł do modlitwy i dopiero wstawszy od niej, z chłodną krwią wydał rozkaz, aby wrota kościelne natychmiast, przed wieczorem jeszcze osaczono na nowo.

Zuchwałe to było ze strony króla wyzwanie. Nie chcąc się narażać na podobne gorszące napaści, biskup pomyślał, iż mu przyjdzie ulubiony swój kościół katedralny na długo opuścić i pożegnać.

Z tem uczuciem żalości, raz jeszcze poszedł do

wielkiego ołtarza, aby się tu pomodlić i na długo może pożegnać z ulubienicą swoją.

Dla ludu złym był widok nieposzanowania miejsca świętego i spełnianych w nim gwałtów,—należało obronić świętość od skazy, a chrześcijan od zgorzenia.

Pomodliwszy się, szedł biskup ku drzwiom wyłamanym, stojąc, popatrzał na nie chwilę, i, nieunikając już spotkania, zwykłą drogą w towarzystwie duchownych na Skałkę się udał.

Przed kościołem gawiedź gromadziła się tylko ciekawa, która śledziła w twarzy biskupa czy uląkł się groźby, ale nie wyczytała z niej nic więcej nad ten sam spokój i powagę, jakie ją zawsze oblekały.

Rozstąpili się wszyscy idącemu, mimowoli kilku czapki podniosło a głowy zniżyło, ubogi tłum cisnął się do ręki i błogosławieństwa. Z orszaku królewskiego nie było już tu nikogo.

Bolesław na błonia pociągnął ze psy i sokoły. Władysław pod tę porę był u matki.

Biskup bez przeszkody żadnej dojść mógł do domku na Skałce, lecz zaledwie się tu znalazł i wszedł do komory, w której większą część dnia na czytaniu ksiąg przepędzał, gdy znać dano, że Władysław przybył i posłuchania się doprasza.

Z całego rodu jeśli nie najmilszym, to najmniej wstrętliwymi byli biskupowi Światawa i Władysław.

Księżę ten cichy, skromny, pobożny, choć w młodszym wieku dość swobodne wiodł życie, nie stosując się do przepisów Kościoła, a naśladowając dziadów swoich,—szanował duchowieństwo, okazywał mu zawsze pokorne oblicze, dawał się strofować i starał złe naprawić. Przebaczone mu więc nieślubny związek, w którym dotąd zostawał—i biskup nie miał doń zbytniego wstrętu. Władysław stawiał się przed nim z większą może niż kiedy uniżonością, jakby go za przewinienie braterskie chciał przebła-

Śmielej oczy wszystkich zwracały się ku Boleszczycom, ale nikt ani się zbliżał, ani słowa przemówić nie chciał. Mszczuj, idący z głową spuszczoną, jakby unikał widoku synów, stanął nagle, podniósł niespokojnie oczy, drgnął, szukał wzrokiem dzieci swych, postrzegł i zdał się wahać, czy ma ich pominąć, czy przywołać...

Zatrzymał się tłum za nim idący;—zamięszanie jakieś widać było.

Mszczuj, postawszy nieco, począł się ku synom przedzierać. Rozstąpili mu się ludzie.

Z groźną twarzą,—przybliżył się ojciec ku stojącym, oczy mu się zaiskrzyły gniewem, usta zabelkotały coś niewyraźnie, lecz mówić nie mógł i ręce wyciągnął.

Wszyscy sześciu skoczyli w tej chwili z koni i przybiegli upaść mu do nóg.

Starzec łkał i płakał, dał im przystąpić, lecz ani tknął żadnego, ani się odezwał słowem...

Nareszcie przemógłszy ból i gniew, zawołał:

— Na sąd idźcie!

I wskazał ręką na gród.

— Na sąd jako winowajcy!

Starszyzna powtórzyła za nim groźno:

— Na sąd!

Mszczuj, lękając się słabości własnej, dzwignął się ku zamkowi, a Boleszczyce, konie zdawszy czeladzi, jak stali razem, połączyli się z tłumem wracającym z kościoła. Otoczeni byli rodziną, znajomymi swoimi, lecz, jak od zapowietrzonych odsuwali się wszyscy, cofali się jedni, wyprzedzali drudzy, zostali sami, jak wśród obcych, odróżnieni, jak winowajcy.

Tak w milczeniu, otoczeni złowrogim gwarem, musieli powoli ciągnąć na zamek, a droga wydała się im długą i nieskończoną.

Idąc, mogli dostrzedz, iż zapowiedziany na nich sąd, teraz się już przysposabiał; zwoływali się i umawiali starsi, otaczali Mszczuja, i gdy prze-

szedłszy wrota szukali ojca oczyma, zobaczyli go ze stryjami idącego wprost do dziadowskiej izbicy.

W ślad zwolna ciągnęli za nimi. Kilka razy w pochodzie tym znajomsze spotkali twarze, probowali pozdrawiać krewnych, ale ci się odwracali. Chwilę stali przed izbicą, i gdy niepewni byli jeszcze czy czekać mają czy wchodzić, Jaromierz przez okno dał znak ręką, aby przybywali.

W pustej izbicy, w której jeszcze resztki po-grzebowego łoża niesprzątnięte leżały w pośrodku, na ławach siedzieli wedle starszeństwa stryjowie wszyscy, Mszczuj na ich czele. Na kiju oparty, nie spojrział nawet, gdy synowie weszli i stanęli. Nie podniósł on głosu, Jaromierz odezwał się pierwszy:

— Jaceście się tu zjawić śmieli? — zawołał. — Dla kogoście wypowiedzieli dziadowi i ojcu posłuszeństwo—z tym sobie trzymajcie i gińcie z nim! Co tu robicie? Wyście nam obcy!

Borzywój wysłuchał gwałtownego głosu, pomyślał chwilę i zwolna, dobywając kawał pergaminu z za sukni, począł:

— Król Bolesław nie żyje — umarł na pokucie w klasztorze. Otrzymaliśmy przebaczenie kościelne, wróciwszy na rozkaz księcia Władysława Hermana, odwożąc mu królową wdowę i syna Bolesławowego, Mieszka. Wygnanie nasze z łaski nowego pana się skończyło, wracamy z wywołania do praw innych ziemian królestwa tego, czyż tylko krew własna i ród odmówi nam łaski i przebaczenia?

Mszczuj podniósł oczy szeroko rozwarte i twarz mu się wyjaśniła; wszyscy inni milczeli.

Na stryjach widać było zdumienie wielkie i nie dającą się ukryć niechęć. Znaczne ziemie i posiadłości na Mszczuja przypadające, gdyby Boleszczyce przez ród swój zaparci i wyrzuceni zostali, przypadły bratankom;—nie bardzo więc powrotowi i łasce radzi byli krewni. Ojciec odezwać się jeszcze nie śmiał, gdy Jaromierz począł.

— Mógł nowy pan łaskę uczynić — rzekł —

w tem wolę swą miał, a nieboszczyk nasz dziad, któregośmy dziś pogrzebali, co rzekł, tego z mogiły nie odwoła, a co on wyrzekł, to my święcie spełnić powinniśmy. Słowa jego były, że znać was nie chce, jeśli króla nie opuścicie; prawem dla nas jego słowa! My was za swoich znać nie chcemy!! Co głowa rodu postanowiła, to ród spełnić musi, inaczej na świecie ładu, posłuchu, i rodu, i domu, i narodu nie będzie!

Zamilkł; inni spoglądali po sobie, Mszczuj głowę spuścił, milczał.

— Takli wyrokuje i ojciec rodzony na synów swych?—spytał Borzywój.

Mszczuj nic nie odpowiedział, głębokie pano wało milczenie. Jaromierz ze słowem pośpieszył:

— Otrzymaliście łaskę pańską, wracacie jako ojczyce do ziemi tej z przebaczeniem... Co nam do tego? Idźcie sobie rodem osobnym, Boleszczycami, a do nas się nie łączcie, nie chcemy was.

Dwóch stryjów powtórzyło za Jaromierzem:

— Nie chcemy was!

— Takli mówi i ojciec rodzony?—odezwał się Borzywój.

Stary milczał wciąż z głową spuszczoną.

— Przynieśliśmy list królewski, który łaskę nam swą świadczy—dodał Borzywój, rozwijając kartę pergaminową.

Stryjowie patrzali na nią zdala, lecz nikt z nich czytać, ni pisać nie umiał i co stało na karcie, tajemnicą dla nich było *). Głowami strzęśli...

— Co książęciu do spraw rodu i domu?—zawołał z kąta Mieszko—Odolajowe słowo odwołane być nie może. Sam słyszałem od niego, gdy mówił,

*) Długosz wspomina to pismo Władysława Hermana pod r. 1084 «Et cum eo (z Mieszkiem) Borzywój filiuk Mstae, Zbilutus, Dobrogostus, Zema, Odolaj, Andreas et alii omnes milites, qui cum Boleslao rege in Hungarium effugerunt, omnia eorum mobilia ad plenum restituit.»

że na pogrzeb jego jeślibyście przybyć śmieli, czeladź kijmi was od trumny przepędzi! Nie śmiała się porwać czeladź, a no my, synowie i wnuki poszanować wolę nieboszczyka musimy. Dla was tu miejsca niema.

— Takli mówi i ojciec rodzony?—po raz trzeci odezwał się Borzywój, ku Mszczujowi poglądając.

Ojciec siedział jeszcze jak głuchy, osłupiały i bez życia; walczył z sobą, trząsł się i z oczu ku ziemi spuszczonej łączył mu ciekły.

Milczeli wszyscy odpowiedzi jego czekając; podniósł głowę stary, spojrzął na Borzywója i stojących za nim i rzekł głosem poruszonym:

— Ojciec pójdzie za dziećmi swojemi. Wyprze się ich ród, za wierność nieszczęśliwemu okazałą,—niechże się i ojca wypiera...

Rękę wyciągnął do Borzywója:

— Sam tu, rękę mi daj, chodźmy, a rozstańmy się z rodziną i braćmi i będziemy nowego rodu głową, gdy nas od tego, jak suchą gałąź odcięto...

Jaromierz i ci co przy nim siedzieli z ław powstali, zrobił się szmer; Mszczuj był teraz najstarszym głową rodu...

— Nie może to być, abyś ty nas opuścił!—zaczęto wołać—nie może być! Ty z nami!

— Dzieci dla was się wyrzec nie mogę—rzekł Mszczuj.—Przebaczył im kościół, darował pan, a ród ma być nieubłagany?... Pogańska zemsta ma ciężać nad niemi?... Chodźmy stąd, idźmy!

Borzywój i wszyscy synowie otoczyli starca i nie mówiąc słowa, zbierali się go wyprowadzić z izbicy, gdy we drzwiach szmer się dał słyszeć i w progu ukazał się duchowny.

Był to ów młody Jastrzębiec, którego biskup wrocławski na księdza wyświęcił. On teraz w Jakuszowicach na probostwie siedział; on starego Odolaja przy skonaniu po chrześcijańsku na śmierć przygotowywał i wracał właśnie ze swego kościołka, gdy

w izbicy sąd na Boleszczyców zasiadł. Stał za progiem przez cały czas, zakryty przez innych, a teraz gdy ostatnie słowa usłyszał, rozgarnąwszy stojących, weisnął się do środka.

— O nieboszczyka Odolaja wolę chodzi?—rzekł cichym głosem.

Jaromierz wtrącił:

— Tak jest, bo wyraźna była i po stokroć nam wszystkim powtórzona, iż tych, co z wyklętym królem trzymali, nie chce znać i w rodzie ich cierpieć.

— Tak było — odezwał się głosem łagodnym duchowny,—lecz mogę wam kapłańskim słowem ręczyć, iż na łożu śmierci przebaczył im, jak przebaczył wszystkim, co mu zawinili. Spowiadałem go i nie byłbym mógł rozgrzeszyć inaczej. Rzekł mi osłabłym już głosem:

— Żywby im nie darował nieposłuszeństwa, gdy każecie, muszę..

Zamilkli wszyscy.

Jaromierz syknął niechętnie. Mszczuj się zatrzymał. Stryjowie wahali się chwilę i pomiędzy sobą szeptali! Toczył się spór widocznie, który słowo duchownego przeważało na Boleszczyców stronę.

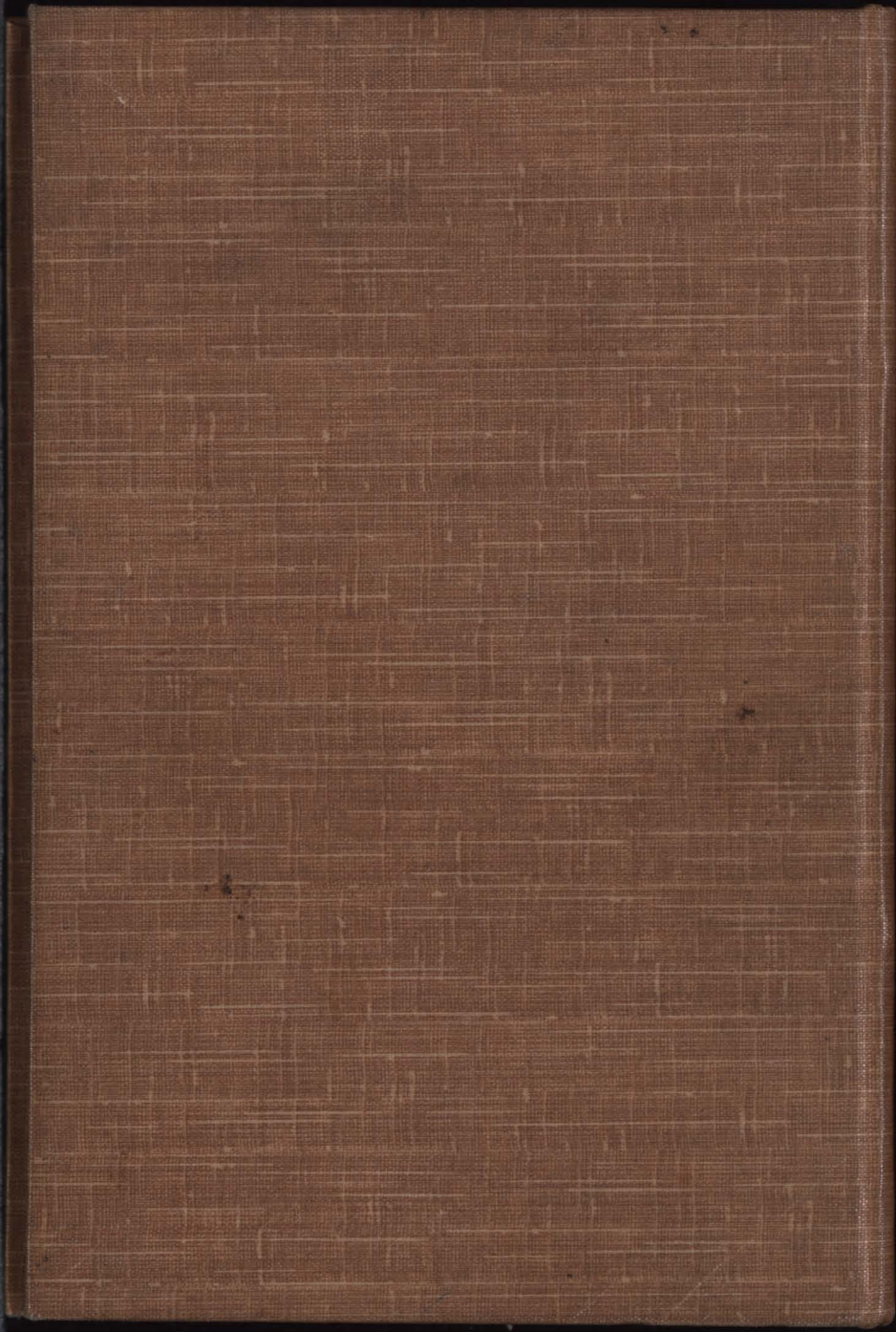
— Jeżeli stary przebaczył — odezwał się Jaromierz choć niechętnie—Bóg z wami! Stoję przy jednym: zwićcież się Boleszczycami nie Jastrzębcami, gdyście Bolesława przenieśli nad ród własny! Nie zapieramy się was — a pamięć tego, co się stało, niech zawołanie wasze zachowa po wiek wieków...

Nikt się już nie sprzeciwiał, nawet Mszczuj, którego otoczyli synowie, i tak w ich gromadzie szedł szczęśliwy starzec ku stołom na stypę, a gdy się z izbicy na podwórcę sędziowie i winowajcy wysunęli, otoczono ich i poczęto witać Boleszczyców, jako braci swych znowu... Dzień pogrzebowy był zarazem dniem zgody i pojednania.

I stypa wśród opowiadań o losach króla,

o przygodach na tułactwie, o młodym Mieszku, którego Boleszczyce kochali wielce, nadzieje na nim pokładając wielkie, siedem dni się przeciągnęła. Mszczuj, nie chcąc na Jakuszowicach siedzieć, ustąpił je najmłodszemu, a sam z synami w okolice Płocka na Mazury powrócił.

K O N I E C



gać. Biskup przyjął go chłodno, z obliczem surowem i poważnem, a niemal dumnem.

Weszli tak razem do skromnego mieszkania biskupiego, Władysław patrzył zrazu i badał twarz gospodarza, nim się odezwać ośmielił.

— Wielebny ojcze, — rzekł w końcu głosem drżącym — zasłyszałem coś... jestem trwogą przejęty. Spór jakiś pono wynikł między królem a przewielebnością waszą?

— Spór? — powtórzył biskup, marszcząc się, — Mylisz się książę, nie spór to już jest, ale wojna otwarta! Król ja sam kościołowi wypowiedział, — posłusznym mu być nie chce. Ja walkę zmuszony jestem przyjąć, bo sobą kościół przedstawiam, a kto mnie dotyka, na kościół się porywa. Do wszystkich zniewag, jakie znosiłem cierpliwie, przybywa jeszcze dzisiejsza, publiczna. Wyłamano drzwi kościelne, znieważono świątynię. Miara pełna po brzegi. Król chciał i mieć będzie cały Kościół katolicki nieprzyjacielem.

Władysław przypadł do ręki biskupa, który mu ją z lekka usunął.

— Miłościwy ojcze, — odezwał się żywo. Znacie króla! — gwałtowny jest i niepomiarkowany, dajcie mu ochłonąć, upamiętać się. On nawykł do rozkazywania, nie zna w nim miary — lecz serce ma dobre! Jestem pewny, iż uległby, gdyby nie lękał się, że poddanym rozkazywać nie potrafi, sam będąc zmuszonym drugim ulegać. Oszczędźcie mu upokorzenia...

— Co się stało w oczach ludzi, odwołanem ani zmienionem być nie może — odezwał się biskup chłodno. — Kościół musi bronić praw swych i karcieć nieposłusznych. Król Bolesław sam swoim postępkami popadł pod *Anathema* kościelne. Nie ja, nie kościół, — sam on się wykłął i wyłączył ze społeczności. Moim ustom dostanie się tylko spełnienie obowiązku i wyrzeczenie tego, co się już dokonało..

Władysław zbladł, zadrżał, rzucił się do kolan biskupa.

— Ojcze, — zawołał — miejcie nad nim i nad nami miłosierdzie!

Stanisław ze Szczepanowa cofnął się, unikając zbliżenia.

— On sam, on, nie miał nad sobą i wami miłosierdzia, zawołał gwałtownie — proście jego, aby pokutę czynił!

Odepchnięty niemal Herman, podniósł się, spojrzął na nieugiętego biskupa, i krew piastowska w nim zakipiała, gdyż wyprostował się i przybrał niemal groźną twarz.

— Jako duchowny, wy, przewielebny ojcze, wiecie lepiej co czynić macie, rzekł głosem nieco podniesionym; ja, jako chrześcjanin a brat króla, odważę się tylko przypomnieć, że ani kościołowi, ani wam, ani ziemi tej, ani duchowieństwu nie wyjdzie na dobre zatarg i wojna. Król wyzwany, gwałtownym jest i niepomiarkowanym będzie.

— Kościół się nieczyich gniewów ani gwałtowności nie lęka! — przerwał biskup. — Od opoki tej odbijają się ciosy i padną na tych, co świętokradzką na nią rękę podnieśli.

— Nie ma więc ratunku! — zawołał Władysław.

— Jest, — rzekł biskup — jeden jest tylko; niech się król ukorzy. Niech przyjdzie pieszo z pokorą stanąć publicznie jako winowajca u tych samych drzwi, które czasu ofiary świętej łamać kazał, niech czyni pokutę, a Rzym nad nim miłosierdzie mieć będzie.

Władysław nic nie odpowiedział; lepiej niż kto inny wiedział, że niepodobieństwem było skłonić króla do podobnego kroku.

Biskup dodał po chwili.

— Jak skoro klątwa wyrzeczoną zostanie, a raczej nim ona będzie rzuconą, jedźcie stąd, książę, oddalcie się, uciekajcie! — Wszelkie bowiem współnictwo z królem i na waszą głowę klątwę sprowadzi, i na wszystkich, co z nim zostaną!

Staął biskup nieco opodał od księcia, jakby

chciał go pożegnać i odprowadzić. Władysław strzymywał się jeszcze, walcząc z trwogą i chęcią niemożliwego pośrednictwa. Spojrzawszy na stojącego zdala i w powadze wielkiej biskupa, przekonał się, iż próżnoby go poruszyć się starał. Coraz groźniejszy stawał się wyraz twarzy i postawa.

— Nieodwołany więc wyrok wasz? — szepnął cicho.

— Com rzekł, to się stanie — odparł biskup, bo nie ja rzekłem, ale Kościół przez usta moje. Idź księżę na Wawel, popatrz na złamane drzwi kościoła, i módl się, aby Bóg na całym rodzie i pokoleniach następnych nie mścił się zniewagi domu swego.

Władysław pochwycił głowę i nie próbując się już zbliżyć do zdala stojącego biskupa, wolnym krokiem wyszedł z izby.

Król z kościoła wprost na łowy jechał, a otaczający go dwór, dla przypodobania się panu, coraz to, prześmiewając się, przypominał owo łamanie drzwi kościelnych, odniesione nad biskupem zwycięstwo, i bojaźń mniemaną, jaką niby na twarzach duchownych wyczytał. Drudzy śmielsi odgrzali się głośno na samego biskupa, inni rzucali nań potwarte, wymyślając plotki nedorzeczne.

Nierozumna gawiedź ta nie widziała pewnie, iż Bolesław marszcząc brwi szyderstw tych słuchał; nie odpowiadał słówkiem na nie, nie zdawał wcale zabawiać niemi, owszem jątrzyło go widocznie samo wspomnienie o biskupie.

Płoch młodzież widziała w tem zwycięstwo, — on czuł i rozumiał, że to był walki początek.

Tegoż dnia wśród łowów, z pogodnego nieba nagle się zerwała burza z wichrem, gromami, błyskawicą i gradem, a gdy gromadka Boleszczyców schroniła się pod dąb na skraj lasu, padł ogień z niebios na drzewo, i w oczach wszystkich zdruzgotał je i zapalił.

Łowy też wcale się nie wiodły, ptaki z bereł

podnosić się nie chciały, psy, jakby węch straciwszy, chodziły błędne, zwierz bezkarnie im uciekał z pod stóp prawie.

Borzywój, który żarty stroił zrazu, ucichł nagle a Dobrogost rzekł, pochylając mu się do ucha.

— Król dziś straszno patrzy — nie wspominajcie mu biskupa: wie pewnie co ludzie gadają.

— A cóż gadają ludzie?

— Że dziś króla kląć mają w kościele.

— I co z tego! — spytał Borzywój — mało kto kogo klnie.

— O! o! — odparł Dobrogost, — straszne rzeczy prawią o takim klęciu w kościele... Mówią, że człowiek przeklęty zwierzem się staje, przemienia w wilkołaka, i musi w lasy precz uchodzić od ludzi; gdzie go śmierć czeka...

Borzywój niedowierzająco ruszył ramionami, ale na twarzach obu widać było trwogę, którą utaić się starali...

— Kto z nim będzie przestawał, tegoż takiz los czeka — rzekł Dobrogost.

— Nie prawiliś tego — przerwał drugi.

Gdy się to działo pod Krakowem, na Skalce u biskupa gości było więcej niż zwykle. Zebrane zewsząd duchowieństwo otaczało i zalegało dworek biskupi. Na twarzach wszystkich niepokój widać było i przerażenie, inni, nie kryjąc się, łyzy leli i ręce załamywali. Biskup chodził blady i milczący, lecz niezachwiany tem, że otaczający go bojaźń wielką okazywali i strapienie. Kilku starszych kapłanów z pokorą usiłowało doń przemówić, aby go skłonić do łagodności, lecz biskup przerywał im mowę i zwracał ją zaraz na przedmiot inny. Zajmował się pilno przygotowaniem do tego, po co duchowieństwo ku sobie przywołał.

Księgi otwarte leżały na stołach... ciekawi zaglądali do nich i cofali się przerażeni.

Wieczór się zbliżał, gdy wszyscy weszli w ponurem milczeniu do małego kościółka na Skalkę.